

EWALUACJA ZJASCI

PORTRETY ARCHIWISTÓW
SPOŁECZNYCH



ENTJU ZJASCI

PORTRETY ARCHIWISTÓW
SPOŁECZNYCH

- 5 WSTĘP**
- 8 Justyna Wysocka
NIE ODDAWAJ SWOJEJ
SIOSTRY OGNIOWI.
RZECZ
O ARCHIWISTKACH
SPOŁECZNYCH**
- 20 Aleksandra Karmelita
WYPATRZYĆ
NIEDOSTRZEGALNY
ŚLAD**
- 42 Piotr Bewicz
TRANSMISJA
ARCHIWUM**
- 56 Rafał Skórski
Z MIŁOŚCI DO
BIAŁEGO ANIOŁA**
- 68 Katarzyna Wojtasik
PAMIĘC.JPG**
- 82 Milena Zatylna
METAFIZYKA?
A MOŻE SZALEŃSTWO?**

WSTEP

Co łączy konserwatorkę dzieł sztuki, emerytowaną nauczycielkę, kulturoznawczynię, varsavianistów, artystę grafika i fana Anny German? To archiwiści społeczni, którzy odkryli w sobie entuzjazm do dokumentowania tego, co jest ważne dla miejsca, w którym żyją, a o czym milczą podręczniki czy źródła historyczne. Zaczęli też szukać odpowiedzi na ważne dla ich społeczności pytania – o rolę kobiet w historii, o tożsamość, o stosunek do innych narodowości. Wreszcie – są bohaterami zbioru reportaży, który mamy przyjemność oddać w Państwa ręce.

Sportretowani archiwiści są częścią ruchu, który obejmuje niemal całą Polskę. Działają w trzystu miejscowościach wszystkich województw. Czasem jako soliści, częściej – w strukturach organizacji lub instytucji. Tworzą ponad sześćset archiwów, które wyrastają z realnych potrzeb społecznych. Metody ich pracy są autorskie i silnie zakorzenione w środowiskach, w których budują archiwa. Pukają do drzwi sąsiadów, dzięki czemu docierają do unikatowych dokumentów. Nagrywają wspomnienia starszych osób, odwiedzają lokalne stowarzyszenia. Są inicjatorami i twórcami projektów artystycznych i edukacyjnych, angażują społeczność we wspólne działania. Przyczyniają się do ożywienia życia kulturalnego i integracji mieszkańców. Ich działania wykraczają więc poza ramy słownikowej definicji „archiwista”.

Dzięki pracy archiwistów społecznych możemy wsłuchać się w zanikające już dziś dźwięki i głosy, przyjrzeć się nieistniejącym już budynkom i krajobrazom, poznać poruszające historie, które odeszły razem z ich bohaterami. Autorzy reportaży opisują takie zbiory: spuściznę wybitnej fotografi Zofii Rydet, grafiki artystyczne, historie mówione pracowniczek Stoczni Gdańskiej czy mieszkańców Podkarpacia, dokumentacje rodzinnych miasteczek, fotografie Warszawy, utwory muzyki tradycyjnej czy pamiątki po Annie German. Bogactwo i różnorodność zbiorów społecznych bywają zaskakujące. Mają jednak wspólny mianownik – dzięki nim historia przestaje być zbiorem dat i statystyk, a zyskuje nowy, społeczny i osobisty wymiar.

Świat archiwistyki społecznej, choć pełen fascynujących osobowości i zbiorów, nie jest jeszcze szeroko znany. Centrum Archiwistyki Społecznej zostało powołane między innymi po to, by przedstawiać publicznie osiągnięcia archiwistów społecznych. Właśnie z tego powodu w listopadzie 2020 roku zaprosiliśmy środowisko twórców do sportretowania osób, które tworzą archiwa społeczne. Rozpisaliśmy konkurs na reportaż prasowy *Kim jest archiwista społeczny?*, który miał za zadanie zainteresować dziennikarzy, pisarzy i reportażyistów tematem archiwistyki społecznej. Na konkurs zostały nadesłane 33 prace z całej Polski. Dziękujemy za udział w konkursie wszystkim uczestnikom – również dlatego, że wiele

z tekstów opisywało nieznane nam wcześniej wymiary archiwistyki społecznej. Podziękowania kierujemy także do znakomitego grona jurorów: Olgi Stanisławskiej, Agaty Tuszyńskiej oraz Cezarego Łazarewicza, które pomogło nam wybrać sześć najciekawszych literacko reportaży.

W tej publikacji przedstawiamy Państwu kilkoro archiwistów społecznych, wybranych z kilku tysięcy osób zajmujących się tą działalnością. Są entuzjastami swoich społeczności, lokalnej kultury i pracy na rzecz budowania społeczeństwa obywatelskiego, coraz bardziej świadomego korzeni swojej przyszłości.

Joanna Łuba
wicedyrektorka Centrum Archiwistyki Społecznej



NIE ODDAWAJ SWOJEJ SIOSTRY OGNIOWI. RZECZ O ARCHIWISTKACH SPOŁECZNYCH

JUSTYNA WYSOCKA

1.

Kiedy przegląda się zdjęcia kobiet na progach, sportretowanych przez Zofię Rydet w cyklu *Zapis socjologiczny*, łatwo dostrzec pracę najczulszego narzędzia – nawet nie obiektywu, ile nagiego oka. Dumne, jak na obrazie; ościeżnica służy za ramę. Tkwią na granicy. *Orbis exterior, orbis interior*, między nimi guślarka. Ramiona skrzyżowane, jak wyzwanie rzucone losowi. Ręce na brzuchu lub biodrach, opuszczone wzdłuż ciała, założone za plecami. Ręce pełne dzieci, psów, kotów, wiader. Palce splecione lub szczypiące spódnice. Dłoń w kieszeni. Może to ręce mówią wszystko, nie spojrzenia, nie twarze? Aż chciałoby się nabożnie stanąć obok każdej z gospodyń, uwiecznić na cienkiej błonie zastępujący mowę gest. A później by nas wywoływano, jak duchy. Przy jednej z fotografii uwaga: „Jaka była, taka jest na zdjęciu”. Jestem, która jestem. „Mnie nie będzie, ciebie nie będzie, a twoje zdjęcie zostanie. [...] Nie uśmiechać się, broń Boże, i patrzeć w obiektyw. To jest naprawdę doniosła chwila” – Zofia Rydet beszta pozującego dla niej Andrzeja Różyckiego chwilę przed tym, jak zbliży aparat do twarzy. Oglądam artystkę w jego filmie *Nieskończoność dalekich dróg* (1989).

„Wszystkie dziewczyny były bardzo dzielne. [...] Tak się czujemy, jakbyśmy były siostrami” – zdradza swojej rozmówczyni pracowniczka gdańskiego zakładu w słuchowisku *Stocznia jest kobietą*. Dociera do moich uszu echo jej życia, tej, która budowała statki. Matki okrętów i dzieciątek. Głos dobywa się z innych światów, czasów, przemysłów. W narracji kotłuje się osobiste ze służbowym, prywatne z publicznym, krew ze stałą. Czyli prawda. Widzę Was, słyszę Was, praprzodkinie, przodkinie, potomkinie. U drzwi domostw i w wielkich halach. I myślę o długim trwaniu, przenikaniu się kręgow. O mojej babci, kucharce, która gotowała najwykwintniejsze dania w hotelu Polonez. Szkoda, że jej nie nagrałam.

2.

W wierszu Czesława Miłosza *Na pożegnanie mojej żony Janiny*, który zaczyna się od słów „Kobiety-żałobnice swoją siostrę oddały ogniewi”, padają dwa pytania: „Jak bronić się przeciw nicości? Jaka moc / Przechowuje, co było, jeżeli nie trwa pamięć?”. „Nie wyrzucaj” – odpowiedziałyby Zofia Rydet. Tego przykazania, danego człowiekowi przez człowieka, strzegą bohaterki mojego reportażu: Anna Miler, członkini Stowarzyszenia Arteria oraz Zofia Augustyńska-Martyniak z Fundacji im. Zofii Rydet. Archiwistki, które stoją na progu, podobne do czujnej i śmiałej południcy na miedzy. Kobiety, które nie zapomniały o innych kobietach, pilne uczennice mnemotechnikum. Umieją dziedziczyć. Gdyby je sportretować, zapewne ułożyłyby dłonie tak, jak ułożyła w nikłym uśmiechu

kąć swoich ust Lisa Gherardini. Jakby wiedziały więcej. Ogień z Miłoszowego trenu to żywioł niepamięci trawiący ciało żony – płomień, który spala szybko, po cichu i doszczętnie. Obraca wniwecz. Kurczą się rozległe połacie wspomnień, a dym zasnuwa fabułę.

3.

Skąd się bierze archiwum społeczne? Gdzie się zaczyna w człowieku? Archiwum jest serdeczne, wypływa właśnie z serca. Nie można jednak pominąć drugiego słowa, które pochodzi z tego samego rdzenia. Z tkanki bardziej miękkiej. Sierdzić się. Gniewać się za grzechy błahe, ale ciężkie: zaniechanie, nieuwagę, onieśmialanie, krępowanie, umniejszanie, spychanie na marginalia, przemilczenie, przerywanie w pół słowa. Wróćmy jednak do etymologii pogodnej.

Anna Miler, politolożka i kulturoznawczyni, od kilku lat zamienia się w słuch i gromadzi opowieści kobiet zatrudnionych niegdyś w stoczni. Wzięła udział w tworzeniu audioprzewodnika, słuchowisk, książki i aplikacji. Wszystko po to, aby wydobyć z niebytu historie księgowych, suwnicowych, izolatorek, spawaczek, lekarek i magazynierek. Robotnice, inteligentki, emancypantki. Chce, aby ich relacje wybrzmiały z mocą równą tej, która elektryzuje przekazy mężczyzn, armatorów prawdy. Wypowiedzi w pierwszej, najważniejszej osobie, liczba pojedyncza, rodzaj żeński, czas przeszły. Wymagają uwagi, zabiegów i troski, właściwiej spadkobierczyniom, którym trafił się skarb. Tu nie decyduje ślepy traf. „Mój tata pracował jako stoczniowiec w Stoczni Remontowej przez czterdzieści lat” – wyznaje Anna Miler. „Ja przez to nie wychowywałam się z nim, mama mieszkała razem ze mną i moimi siostrami w Wielkopolsce. [...] Stocznia była zakładem, który nas rozdzielał”. Tata już emeryt, ale życie badaczki ze stocznia dopiero się zaczęło. Jest z nią przecież spowinowacana, ma do niej słabość, chce ją zrozumieć. Dzięki wywiadom z kobietami wie, o co zapytać ojca. Jego też nagrała, powstał mówiony pamiętnik. Zaskarbiła sobie rodzicielskie uznanie. Łączy ich od teraz coś więcej, port macierzysty.

Rodzinne archiwum prowadzi również Zofia Augustyńska-Martyniak, konserwatorka dzieł sztuki po krakowskiej ASP, która wraz z mamą sprawuje pieczę nad dorobkiem wybitnej fotografki Zofii Rydet, swojej krewnej, imienniczki, pracioci. Cztery dekady pracy artystki w jej rękach. Dobrych rękach. „Z archiwum żyjemy pod jednym dachem od 1997 roku” – przyznaje. Powstał dom ze źródłami. Wrażliwość Zofii Rydet znalazła zrozumienie i uznanie u kobiet z rodziny. Sama też potrafiła nimi obdarzać, „chwaliła każdy rysunek, zachęcała, kupowała materiały i książki” – wspomina prawnuczka. I babka, i matka, i córka to twórczynie,





↑
Korespondencja Zofii
Rydet

→
Porządkowanie
archiwum Zofii Rydet

←
Żelatynowo-srebrne
odbitki autorstwa
Zofii Rydet z lat
sześćdziesiątych

a ponieważ jednorodny ogląd na piękno to solidne spoiwo, można sądzić, że przemawiają podobnymi językami. Ulepione z tej samej gliny. Zapytana o to, dlaczego podjęła się pracy z tą spuścizną, archiwistka odpowiada, że to „spełnienie obietnicy, uszanowanie czyjejś woli, «chlubne jarzmo»”, nałożone przez praciocię. Zofia Rydet wierzyła w to, że zdjęcie „zatrzymuje jaźń” – to jej własne słowa – a więc przedłuża życie osoby stojącej po drugiej stronie obiektywu. Spieszyła się, gnana kronikarskim niepokojem, poruszona skandalem upływu czasu i przemijania. Była zachłanna. „Jaka moc/Przechowuje, co było, jeżeli nie trwa pamięć?”. Może właśnie fotografia. Jeśli tak, to o Zofii Rydet też można myśleć jak o archiwistce. Wychylonej w przyszłość.

4.

Od artystki można nauczyć się jeszcze czegoś innego. Po pierwsze – że, jak powiadała, w obliczu zagrożeń świata liczy się tylko miłość. Do rodziny, ludzi, dziecka. Po drugie – że, jak twierdzi opiekunka jej archiwum, najważniejsze to odkryć życiową pasję, oddawać się jej systematycznie i być w tym oddawaniu się konsekwentną. Trzeba mieć swój pokój, swoją ciemnię, w której przechodzą wszelkie bóleczki. Zofia Augustyńska-Martyniak uważa przodkinię za pionierkę feminizmu i samorealizacji kobiet, wyprzedzającą swoje czasy. Szperając w archiwaliach krewnej, odnajduje ślady przenikania się sztuki i życia prywatnego, powiązań między nimi. „Fotografowanie kochała ponad wszystko” – dodaje. W takim duchu artystka zrealizowała swoje najważniejsze dzieło, monumentalny *Zapis socjologiczny*, dokumentujący „świat, który już nie istnieje”. Naciskała spust migawki, jakby szeptała kojąco: „Nie wszystek umrzesz”. A po trzecim wreszcie, Zofia Rydet uczy nas, że przed przekroczeniem cudzego progu trzeba najpierw zapukać, a na powitanie koniecznie podać rękę. Sądziła, że te proste gesty wzbudzają zaufanie ludzi. Mówi o tym w filmie Różyckiego.

Warto też wsluchać się w głosy innych nauczycielek – ze stoczni. Powiernicze tych opowieści, Annie Miler, kobiety dają lekcję wytrwałości, szacunku do siebie, zaradności, którą przejawiały nie tylko w godzeniu ciężących na nich obowiązków, ale też w tworzeniu przestrzeni dla społeczności sąsiedzkiej, obywatelskiej, pracowniczej. Dziarsko, na przekór niesprzyjającym okolicznościom. Ich świadectwa pozwalają archiwistce pojąć rolę, jaką odegrały w historii zakładu i Gdańska. W swojej pracy Anna Miler przekonuje się także o tym, jak ciało kobiece bywało konfrontowane z warunkami i wymogami pracy w zakładzie. Wysoko ceni to, że autorki stoczniowych opowieści mówią o nim swobodnie, otwarcie, w słowach o wielkiej mocy. Menstruacja, Macierzyństwo, Menopauza (już

nie „Miasto, Masa, Maszyna”). Fizjologia codzienna, strajkowa, w opresji. Sprawy wyrugowane z historii wyuczonej i uczonej. Anna Miler wybiera inną drogę. I tak na przykład w książce *Stocznia jest kobietą*, wydanej przez Stowarzyszenie Arteria w 2016 roku, badaczka, pisząc o matkach chrzestnych statków i feminizowaniu okrętów, podkreśliła to, jaką dwuznacznością wyobraźnia ludzi morza pętała ciało kobiety. „Z jednej strony statek przyrównywany jest do macicy, w której łonie dziecko jest bezpieczne [...], z drugiej traktowany jest jak nieprzewidywalna dla mężczyzny uwodzicielka, obiekt romantycznego uczucia. Bez doświadczonego mężczyzny u steru jest nieposkromiona [...]” (s. 157). Język, którym posługiwały się pracowniczki stoczni, niewymuszony i niepodległy, ożywia zmurszałą i uładzoną mowę, przywraca jej ikre i przynosi nam ulgę.

5.

Archiwa społeczne niosą zmianę nie tylko słownikom, ale też naszemu obrazowi świata i biegu jego spraw. Jak stwierdza Anna Miler, „mają one tę przewagę nad innymi formami upamiętniania osób, że dają tym niewybrzmiałym dotąd głosom prawo wybrzmienia”. Pozwalają podążać za najwątleszymi echami, bacznie nadstawiać uszu. Odsuwają na drugi plan momenty dziejowe i mity założycielskie. Zwalniają z obowiązku syntezy i podręcznikowych uogólnień, dają natomiast pierwszeństwo opowieści dotąd niewysłuchanej. „Otwierają drzwiczki, robią małą szparę” – dopowiada badaczka. Warto przez nie zajrzeć, dokonać odkrycia. Rozwinąć wątek tylko z pozoru poboczny.

Archiwum projektu „Stocznia jest kobietą” cieszy się coraz większą popularnością wśród artystów i uczonych. Zagadnienia społeczne, na których skupiają się inicjatorzy przedsięwzięcia – Stowarzyszenie Arteria i Instytut Kultury Miejskiej – przenikają do świadomości nie tylko lokalnej. Organizatorzy sądzą, że dając współczesnym odbiorcom wgląd w minione życie pracowniczek-budowniczych statków stworzą wspólnotę doświadczeń, których trzon pozostaje przecież niezmienny. Pamięć o tych kobietach nabiera donioślejszego znaczenia zwłaszcza teraz, gdy trwają starania o wpisanie Stoczni Gdańskiej na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Również praca Zofii Rydet była intymnym spotkaniem człowieka z człowiekiem, a nie z historią czy czasami. Nie szczędziła czasu napotkanym twarzom. Spojrzała w każdą parę oczu, uściśniła każdą dłoń. Sporządziła skrupulatny rejestr portretów, na których widnieją mieszkańcy kilku miejscowości, wyrwani z codziennej krzątaniny i domowego rozgardiaszu. Cykl *Zapis socjologiczny* sam w sobie uchodzić zatem może za wizualne archiwum społeczne. Pojawienie się charyzmatycznej artystki w życiu sfotografowanych osób nie pozostawiło ich, jak sądzę, obojętnymi. Pewnie





↑
Wspomnienia pracownic
Stoczni Gdańskiej wydane
przez Stowarzyszenie
Arteria w 2016 roku



←
Anna Miler

Fragment otwartego
warsztatu CUMY
w dawnej hartowni
Stoczni Gdańskiej

pamiętali tę sesję do końca życia. Zofia Augustyńska-Martyniak, opiekując się powierzonymi jej zbiorami, sprawia, że bohaterowie zdjęć Zofii Rydet, tak jak i ona sama, wciąż istnieją. Staną nam przed oczami, gdy tylko zechcemy skierować swój wzrok, swoją uwagę na jej prace. Tego przecież chciała. Praciocia „jest obecna bezustannie zarówno w naszej rodzinie, jak i w świecie sztuki”, oznajmia archiwistka. O tym, że twórczość fotografki wciąż inspiruje i skłania do namysłu, świadczy choćby projekt „Coś, co zostanie” – otwarta galeria zdjęć nawiązujących do koncepcji *Zapisu socjologicznego*. Ciągłość zachowana.

6.


Obcowanie ze źródłami to zajęcie pochłaniające, ale i wdzięczne. Bóle pleców i oczu zostają wynagrodzone znaleziskami, które odsłaniają przed nami nieznaną historię naszych przodkiń i przodków.

Zofia Augustyńska-Martyniak w swojej pracy z archiwaliami ceni sobie to, że wciąż może poznawać Zofię Rydet, jej życie, twórczość i rozwój artystyczny. Dokonywać odkryć 23 lata po śmierci pracioci. Żmudna dłubanina to jedna z ulubionych czynności archiwistki. Jak sama wyznaje, „porządkowanie tego wszystkiego jest dla mnie po prostu przyjemne, jest takim etapem pracy, w którym można się odciąć od rzeczywistości, zapomnieć zjeść [przez] cały dzień, iść spać o drugiej nad ranem [...]”. Uwodzi ją aura dawnych lat – stare zdjęcia i wykaligrafowane listy. Ślady czasów naszych babć, ślady rąk, które służyły tworzeniu rzeczy pięknych, rąk powołanych do rzemiosła.

Dla Anny Miler w działalności archiwistki społecznej, według jej własnych słów, liczy się z kolei najbardziej „moment powstawania archiwum”, czyli spotkanie i budowanie relacji z rozmówczyniami. To są sprawy wielkiej wagi. Powierając swoje historie autorkom projektu, udzielając im praw do swoich opowieści, kobiety ze stoczni okazują swoje zaufanie. Pamiętają o tym, co powiedziały. Chcą być blisko, dopytują o losy przedsięwzięcia. Na badaczce ciąży rygor prywatności i odpowiedzialność za słowo. Niemniej cieszy ją, że plik z nagraniem to nie zastygły w swej formie dokument, ale punkt wyjścia do dalszej rozmowy, interpretacji, dyskusji, kwerendy. Dzięki temu archiwum społeczne tętni życiem. Pielęgnuje się w nim pamięć bez apeli z musztrą, bez wznoszenia pomników.

7.

Jest taki fragment we wspomnianym już filmie *Nieskończoność dalekich dróg*, kiedy Zofia Rydet instruuje Andrzeja Różyckiego, jak ułożyć do zdjęcia ręce. „Tak, bo te ręce masz wtedy trochę zdeformowane i to jest ładne. One są takie ważne, wielkie” – podpowiada artystka, czujnym

okiem zerkając w kadr. Podobnymi słowy w swojej poetyckiej przepowiedni *Bogini matriarchatu* (1985) Anna Świrszczyńska opisuje ręce tej, która ma nadejść: „[...] dłonie / dźwigają ciężar nieba dziesięcioma / palcami, a te są / [...] jak dziesięć piorunochronów, / twardych jak gotyk”. Tak też wyobrażam sobie ręce Zofii Rydet, zawsze z aparatem, wyciągnięte do człowieka. Spracowane ręce suwnicowej ze Stoczni Gdańskiej. Ręce archiwistek pieczołowicie spisujące opowieści, cierpliwie przeczesujące archiwum. Piorunochrony, bezpieczniki, dźwignie. Pamięć w małym paluszku. 

O autorce:
JUSTYNA WYSOCKA

Romanistka i edytorka. Od 2013 roku opiekuje się archiwum Oficyny Poetów i Malarzy na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Publikowała między innymi w: „Fabulariach”, „Wizjach”, „Drobniaczkach”, „Blizie”. Najchętniej czyta o historii książki. Chodzi po lasach. W życiu kieruje się węchem.

O bohaterkach:
ZOFIA AUGUSTYŃSKA-
-MARTYNIAK

Konserwatorka dzieł sztuki. Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Ukończyła studia podyplomowe Zarządzanie kulturą na Uniwersytecie Jagiellońskim. W roku 2011 powołała wraz z matką Marią Fundację im. Zofii Rydet, którą wspólnie z nią kieruje. Archiwistka, współtwórczyni portalu zofiarydet.com. Opiekunka i inwentaryzatorka zbioru fotograficznego i archiwum Zofii Rydet oraz popularyzatorka jej twórczości.

ANNA MILER

Herstoryczka, aktywistka. Z wykształcenia kulturoznawczyni i politolożka. Realizuje projekty związane z historią kobiet, wśród nich: „Stocznia jest kobietą”, „Metropolitanka”, „100 kobiet na 100-lecie praw wyborczych” „Women for Democratic [R]evolution”. Przewodniczka śladami kobiet budujących statki i strajkujących w Stoczni Gdańskiej. W gdańskim Starterze zainicjowała i koordynuje projekt „Kobiety też budują statki”, wspierający rozwój zawodowy kobiet pracujących w branży morsko-logistycznej.



avtozastoi

WYPATRZYĆ WIEDOSIŹRZĘ- GALNY ŚLAD

ALEKSANDRA KARMELITA

Opowieść Babci Piotrka P.

W czasie wojny żyli Kasia i Jasio. Zakochali się w sobie i poprzysięgli, że jeśli jedno z nich zginie, wtedy przyjdzie z zaświatów i weźmie ze sobą drugie, bo nie chcieli bez siebie żyć. Zły los sprawił, że Jasio, zabrany do wojska, poległ w bitwie. Kasia płakała długo, zamknięta w swoim pokoju, aż któregoś ranka posłyszała z oddali głos. Wołał ją: „Chodit’, Kasiu”. Zdziwiona wyszła do kuchni i przez kuchenne okno zobaczyła Jasia na białym koniu. Przełękła się bardzo. Nie chciała już odchodzić ze świata. „Chodit’, Kasiu” – powtarza Jasio. „Zaro, Jasiu” – odpowiada Kasia. „Chodit’, Kasiu” – nie daje za wygraną Jasio. „Zaro, Jasiu” – odpowiada Kasia. I to się nie kończy.

SYLWETKI. WPROWADZENIE

Piotr Piasta

Lata osiemdziesiąte. Drewniany domek w Brudnowie, gmina Wieniawa. Dużą izbę z piecem zajmują też rodzice i brat Piotrka. W mniejszej izbie z kuchnią mieszka i sypia Babcia. Zimowe poranki w domu ogrzewanym piecem są chłodne. Ogień jeszcze drzemie pod warstwą popiołu, zanim go ktoś roznieci na nowy dzień. Mimo chłodu, codziennie o poranku, zanim inni domownicy się obudzą, Piotrek pokonuje odcinek pomiędzy dużą a małą izbą. Kilka skrzypnięć drewnianej podłogi pod dziecięcymi stopami, i już jest na miejscu. Włazi pod ciepłą pierzynę babci i zafascynowany – słucha jej Opowieści.

Piotr Wawrzekiewicz

W 2005 roku Stowarzyszenie Muzyka Dawna w Jarosławiu organizuje wyjazdy badawcze w celu pozyskania najstarszych pieśni z regionu. Piotr Wawrzekiewicz jest świeżym członkiem Stowarzyszenia, uczestniczy w jednym ze swoich pierwszych wyjazdów terenowych. Wieczorem, po pracy w terenie, spotkanie dla chłopaków z grupy poszukiwaczy prowadzi znany badacz pieśni tradycyjnych i muzyk Adam Strug. Kiedy rozmawiam z Piotrem przez telefon, wspomina to spotkanie po piętnastu latach. Opowiada, jak prowadzący usiadł na krześle i powiedział kilka zdań, które „były jak uderzenie obuchem”. Brzmiały tak: „Chłopcy, słuchajcie, trafiłście na skarb. Od was zależy, co z tym zrobicie. Macie przed sobą dwie drogi. Albo się tym nie zajmiecie i pozwolicie temu umrzeć, odejść wraz z tymi ludźmi. I wtedy będziecie mieli kaca moralnego. Albo zajmiecie się tym. Poświęćcie na to lata, szukając tych pieśni, ucząc się ich, próbując się dowiedzieć, jak one naprawdę brzmiały, bo starość zniekształca. Czekają was wtedy mnóstwo nerwów, to będzie stąpanie po zgłiszczach niemalże, próba rekonstrukcji z jakichś szczątków. Będziecie się z tymi ludźmi zaprzyjaźniać, żegnać, jak będą umierać. Musicie podjąć decyzję”.

Około 2000 roku Ośrodek KARTA ogłasza konkurs na prace uczniowskie o tematyce historycznej. Olga, uczennica Liceum Ogólnokształcącego w Bieczu, w rodzinnym domu znajduje na półce między książkami po-
żółkłą kartkę z ręcznym pismem. List dziadka z Syberii. Poruszona, pisze pracę – kronikę swojej rodziny. Praca nie zdobywa żadnego miejsca w konkursie Ośrodka KARTA, ale niebawem Olga wysyła ją na inny konkurs, poświęcony genealogii i „małym historiom”. Wydawnictwo Reader’s Digest przyznaje jej pierwszą nagrodę. No i wtedy już widziałam sens – wspomina dziś Olga.

WSPÓLNY MIANOWNIK

Fragmenty z wywiadów z bohaterami reportażu

A.K.: Jaki jest sens tego typu działań, zbierania opowieści?

Piotr P.: Działania polegające na dokumentowaniu kultury, historii są dla mnie ważne, bo pozwalają lepiej zrozumieć świat. I środowisko, w którym żyję. Myślę, że współczesność, pewne postawy ludzi, zachowania wyglądają tak, bo są one efektem tego, co wydarzyło się w przeszłości. Tego, w jakiej kulturze zostaliśmy wychowani. [...] Starsi ludzie, na których się koncentruję – oni są takimi bankami pamięci. Pamiętają tę najdawniejszą historię, z którą ja, osobiście, nie mam kontaktu. Uważam, że przez to są tak wartościowi i cenni. Oni są przekąźnikami tej najdawniejszej historii.

Piotr W.: Moim zdaniem jest to absolutnie ważne. Jest taki aforyzm, że człowiek, który nie zna historii, jest skazany na jej powtarzanie. Nie poznamy lepiej historii niż bezpośrednio z ust tych, którzy nas poprzedzali. Możemy się uczyć tego z książek, ale to będzie historia wielka, w wersji ułagodzonej, w bieżącej linii, wykładni, czy to politycznej, czy społecznej. Natomiast bezpośrednie historie, przekazywane z ojca na syna czy z dziadka na wnuka – i tak samo w linii żeńskiej – są historiami zweryfikowanymi przez życie, przez ludzkie spojrzenie.

Olga S.M.: Badanie mojej rodziny i najbliższego otoczenia pomogło mi zrozumieć, dlaczego jestem takim człowiekiem, jakim jestem. Dlaczego zostałam wychowana tak, jak zostałam wychowana. Jakie mechanizmy kierowały rodziną w różnych sytuacjach życiowych. To wszystko wynikało z dziedzictwa, które było przekazywane z pokolenia na pokolenie. [...] I to wszystko się zazębia o siebie. Historia powszechna i historia prywatna w życiu każdego pokolenia zazębiają się, przenikają i kształtują sposób wychowania kolejnego pokolenia, aż dochodzimy do tego, kim ja jestem i w jaki sposób wychowuję swoje dziecko. I właśnie ten sens zrozumienia. Kim jestem, skąd się wzięłam, dlaczego działałam tak, jak działałam.





Dom rodziny Piotra Piasty w Brudnowie, w którym mieści się jego pracownia



Stanisław Piorun, bohater filmu Piotra Piasty *Piorun Stanisław z Brudnowa* z serii „Przedmiot Ostatni”

Opowiadając o wyjazdach terenowych ze Stowarzyszeniem Muzyka Dawna w Jarosławiu, Piotr Wawrzekiewicz wspomina swoje zdumienie, kiedy odkrył, że starsi ludzie czekali na nich. Oczekiwali wizyty, przygotowywali się do niej jak do ważnych świąt. Mieli wręcz nadzieję, że ktoś przyjdzie i ich wysłucha. Piotra Piastę zafascynowała radość, z jaką za każdym razem bohaterowie tworzonych przez niego filmów opowiadają o tym, co dawniej przeżyli. Radość, z jaką dzielą się swoimi wspomnieniami. Olga Słowik-Matys mówi o ostrożności i delikatności, kiedy spotyka się z informatorami ze swojej wsi. O potrzebie szukania „łagodnej drogi”, aby dotrzeć do tych najbardziej cennych pokładów ludzkiej pamięci, bez narzucania się i natarczywości.

Praca archiwisty społecznego, słuchacza, zbieracza opowieści jest oparta na spotkaniu z żywym człowiekiem i jego emocjami. To praca na nieuchwytnym i delikatnym materiale – wspomnieniach. Każdy człowiek po przejściu pewnej części drogi swojego życia posiada ich piękną kolekcję. Jednak żeby zechciał się nimi podzielić, aby w pełni odkryć ich głębokie pokłady – potrzeba pewnych zdolności, czy może cech charakteru. Czasami, zanim badacz terenowy uzyska odpowiedź na interesujące go pytanie, musi cierpliwie zdobywać zaufanie rozmówcy, przekopując się przez warstwy informacji o osiągnięciach wnuków i przebytych chorobach. I do każdej z nich musi podejść z szacunkiem i zainteresowaniem, bo człowiek po drugiej stronie właśnie sprawdza, czy warto mu zaufać. Kiedy rozmówca już wpuści pytającego do swojego wnętrza, zapraszając do dzielenia jego wspomnień, ten musi pamiętać, że ma tylko po cichu mu towarzyszyć w powtórnym pokonywaniu tej drogi, którą opowiadający już kiedyś szedł. To on decyduje, o czym mówić, a o czym nie. On też wyznacza kierunek tej drogi. Jednym z kardynalnych błędów, które każdy badacz popełnił, jest „przerywanie wątku” przez zadanie kolejnego pytania. Być może pada wtedy odpowiedź na nowe pytanie, ale archiwista społeczny nigdy nie dowie się tego, co powiedziałyby informator, gdyby ono nie padło. Taki błąd zwykle zauważa się dopiero na etapie transkrypcji – przepisywania nagrania. I jest to błąd nie do naprawienia, bo każda rozmowa to sytuacja ściśle określona. Rozgrywająca się w danym czasie i miejscu; z towarzyszącym jej nastrojem i tyloma czynnikami, że nie da się ich przywrócić, aby uzyskać pominięte informacje. Tak, praca przy wspomnieniach uczy bardzo wyraźnie tego, ile treści może się mieścić w milczeniu drugiego człowieka.

Kiedy myślę o zestawie startowym umiejętności potrzebnych do bycia archiwistą społecznym, wydaje mi się, że nie można być nim inaczej niż „z powołania”. Przede wszystkim dlatego, że bez tych specyficznych,

opisanych wyżej umiejętności po prostu by się nie udało. Ponadto – dlatego, że jest to zajęcie wymagające i czasochłonne. Każda rozmowa, fotografia czy pamiątka powinny być opracowane i zarchiwizowane. Nierzadko też skatalogowane. A archiwista społeczny rzadko wykonuje tę funkcję „zawodowo”. Mówimy przecież o dziedzinie, która została nazwana i zdefiniowana w ostatnich dwóch dekadach. Potrzeba ujęcia jej w ramy wynika z coraz większej liczby „przejawów” praktykowania tej dyscypliny oddolnie – przez ludzi, którzy często nie mieli pojęcia, że zajmują się „archiwistyką społeczną”. Olga Słowik-Matys na pytanie „Czy jest pani archiwistką społeczną?” odpowiada ze śmiechem – „Najwyraźniej się nią stałam!”. Wśród osób, które zajmują się tą dziedziną, to bardzo częste zjawisko.

Zaczynają od swojej rodziny, od słuchania babci czy dziadka, oglądania zdjęć z szuflady rodziców. Rozmawiając z innymi, dochodzą do wniosku, że można zebrać więcej takich historii. Dowiadują się o dofinansowaniach, składają wnioski o dotacje, aby zdobyć pieniądze na dyktafon, na plansze, na których wydrukują wystawę o mieszkańcach swojej miejscowości. Zbierają teksty pieśni, nagrywają brzmienie głosu swoich bliskich i dalekich. Przekazują nagrania rodzinom informatorów, przepisują, archiwizują. Wszystko to „w międzyczasie”. Wygospodarowując czas pośród codziennych obowiązków. Dobrze, jeśli pracują w bibliotece, domu kultury, jako artyści – wówczas dokładają sobie tylko zadań w ramach pracy zawodowej. W innej sytuacji – poświęcają czas prywatny, rezygnując ze spotkania towarzyskiego czy kilku odcinków nowego serialu. Dlaczego? Widać – muszą. Coś jest w tych pamięciach ludzkich, co powołuje ich do służby.

SYLWETKI. ROZWINIĘCIE

Chłopiec, który słuchał babci

Po trzydziestu latach zarabia na życie jako artysta audiowizualny. Pisze projekty, nawiązuje współpracę z instytucjami kultury, zdobywa środki na kręcenie filmów i działania z mieszkańcami małych miejscowości. Jego filmy to próba transkrypcji obrazem, przełożenia dawnej rzeczywistości na współczesną formę. W prostokącie ekranu umieszcza przedmioty i ludzi z „tamtego” świata. Ich twarze, słowa, melodie pieśni. Zapamiętuje obrazem. Kadry, które pokazuje na projekcjach, zarówno w małych domach kultury na wsi, jak i na międzynarodowych festiwalach, zatrzymują w spojrzeniu widza odchodzący świat. Przekaz jest prosty. Chomąto. Koń na trawie. Zapaska od spódnicy, w kolorowe pasy. Kilim na ścianie. Twarz. Głos.

W jednym ze swoich projektów użył techniki filmowania w 360 stopniach, aby wykorzystując gogle VR, zaprosić odbiorcę w podróż przez wirtualną



Zdjęcie nagrobne
Władysławy Śliwiczki
[1929–2013] z Jabłonicy,
bohaterki filmów
Piotra Piasty

→
Piotr Piasta
w swojej pracowni
w Brudnowie

WYPATRZYĆ NIEDOSTRZEGALNY ŚLAD



rzeczywistość – do słuchania długich pieśni pogrzebowych, wykonywanych zgodnie z tradycją przez dwie starsze panie ze swojej rodzinnej wsi – siostry Mariannę i Kazimierę Kiljanek. Zbierając materiały do filmów, nagrywa rozmowy wspomnieniowe. Nagrania przechowuje we własnej bazie danych. Jeśli rodzina wyrazi chęć – przekazuje kopie potomkom swoich rozmówców.

Jego filmy są wyjątkową formą prowadzenia artystycznej kroniki okolic, w których się urodził. Wychodząc poza typową formę archiwum społecznego, zachowuje jednak to, co bez jego wkładu (czasu, umiejętności, wrażliwości) odeszłoby. Znikło. Minęło. Rozłożyło się w ziemi. Rozpuściło w wodzie. Rozproszyło w powietrzu, zostawiając tylko niedostrzegalny ślad.

Laureatka konkursu

Zaczęło się od decyzji o powrocie w rodzinne strony, do Żeglec, i rozmów z kuzynkami. Razem szukały informacji o wspólnych przodkach, uzupełniając „białe plamy” na drzewie genealogicznym. I jak to bywa – im dalej w las, tym drzewo było gęstsze, a ponadto – systemem korzeniowym łączyły się z innymi drzewami. W trakcie prywatnych rozmów kilka osób zainteresowało się ich poszukiwaniami. Powstał pierwszy projekt, dofinansowany z programu „Patriotyzm Jutra”, w ramach którego grupa inicjatywna spisywała historie, szukała fotografii i pamiątek zachowanych przez najstarszych mieszkańców Żeglec. Koordynatorką pomysłu była Olga Słowik-Matys.

Drzewa genealogiczne, korzenie i odnogi rozrastały się. „W miarę jak pracowaliśmy przy tym pierwszym projekcie – wspomina inicjatorka – okazywało się, jak gęste są sieci wzajemnych powiązań. Że właściwie trudno jest mówić do mieszkańców miejscowości przez »pan«, »pani«, kiedy się okazuje, że właściwie wszyscy są jakoś spokrewnieni, spowinowaceni ze sobą”. Udało się pozbierać opowieści, fotografie i materiały, które potem złożyły się na pierwszą w historii Żeglec wystawę, a także skromną publikację, dokumentującą dawne życie mieszkańców. Na wystawę – już w dniu jej otwarcia – przyszło 150 osób spośród tysiąca mieszkańców niewielkiej miejscowości.

Po pierwszym projekcie nastąpił kolejny. Następne zebrane opowieści, kolejna wystawa. W odróżnieniu od pierwszej, której tematyka rozproszona była pomiędzy drugą połowę XIX wieku a początkiem lat sześćdziesiątych, treść drugiej wystawy wiązała się ściśle z przeżyciami mieszkańców z okresu wojen światowych. Mimo trudnego tematu, w zbieranie opowieści włączało się coraz więcej osób. Wśród nich zarówno seniorzy, jak i młodzi – ludzie w różnym wieku, wykonujący przeróżne prace.

Można powiedzieć – mechanizm kuli śniegowej działa, maszyneria wspomnień się rozkręca, archiwa pęcznieją w szwach. Rok 2020, z powodu pandemii i konieczności troski o najstarszych, pokrzyżował plany kolejnej edycji, ale jest nadzieja, że trzecia wystawa zostanie zorganizowana w 2021 roku. Olga Słowik-Matys wspomina też o potrzebie stworzenia archiwum cyfrowego, w którym znalazłyby swoje miejsce coraz szersze zbiory. Na co dzień, oprócz zbierania dawnych opowieści i artefaktów, tłumaczy teksty z angielskiego, wykłada na uczelni, wychowuje dzieci.

Uczeń Mistrza

Od spotkania z Adamem Strugiem minęło ponad 25 lat. W tym czasie Piotr Wawrzekiewicz ukończył politechnikę. Zawodowo tworzy dokumentację techniczną i rozruchową, projekty maszyn. Może dzięki temu, w jednym z pokoi mieszkania, w którym żyje z żoną Natalią, udało mu się zaprojektować system półek mieszczący prywatną kolekcję druczków ulotnych, książeczek do nabożeństwa, kantyczek. Wszystkie pozyskane od właścicieli albo zakupione od ich potomków. Skatalogowane, oczyszczone z pleśni i grzybów, z zachowanymi adnotacjami, podkreśleniami, zgięciami rogów na stronach z ulubionymi (albo najbardziej potrzebnymi w danej chwili) modlitwami i pieśniami...

Wokół tych pieśni kręci się druga, niezawodowa strona życia Wawrzekiewiczów. Choć mieszkają w Krakowie, nadal współpracują z jarosławskim stowarzyszeniem. Oboje grają na różnych instrumentach, śpiewają. Jak opowiada Piotr – wspólne granie pomogło im trochę w przetrwaniu pandemii. Wieczorami wyciągali skrzypce z futerałów i grali, i grali... Dlatego, kiedy Piotr opowiada o rozmówcach, od których zdobywał dawne melodie i teksty do nich – skupia się właśnie na głosie. Na melodii głosu. Żeby ją zachować, ponagrywał najpierw członków własnej rodziny. Później, razem ze Stowarzyszeniem Muzyka Dawna w Jarosławiu, nagrywał głosy innych ludzi. Opowiadając o przekazywaniu rodzinom informatorów plików z ich wypowiedziami, mówi, że „przekazuje ich głos”. Wspomina, z jakim zaskoczeniem i radością, wiele lat po śmierci swego dziadka, odkrył na archiwalnym nagraniu wideo fragment jego wypowiedzi. Znalazł głos swojego dziadka!

Zbierając melodie i opowieści, odkrył z czasem jeszcze więcej. W Stowarzyszeniu przypadło mu zadanie zgrania materiału od informatorów z kaset audio, używanych jeszcze na początku pierwszej dekady XXI wieku i zmiany ich formatu na wersje cyfrowe. Nie zastanawiając się dlaczego, zachowywał zarówno wyselekcjonowany materiał muzyczny, jak i pełne pliki z rozmowami, choć zajmowały o wiele więcej miejsca na dyskach. Po piętnastu latach zdał sobie sprawę z tego, jak dużą wartość miała ta





WYPATRYĆ NIEDOSTRZEGALNY ŚLAD

↑
Okólnik z 1947 roku
zabraniający
organizacji
uroczystości
trzeciomajowych
w Szkole
Podstawowej
w Żeglach



Od lewej: Katarzyna Jagieło, Magdalena Dubis i Olga Słowik-Matys ze Stowarzyszenia „Ze Chcą” w Muzeum Przemysłu Naftowego i Gazowniczego im. Ignacego Łukasiewicza w Bóbrce

intuicyjna decyzja. Dzięki niej ocalił kilkadziesiąt godzin z nagraniami wspomnień ludzi, których dziś już nie ma. Pytam: „A co jest na tych nagraniach i w historii mówionej, czego nie ma w książce do historii?”. „Emocje!”

EKSTRAKT Z PRZEŻYĆ I EMOCJI

Książka do historii daje tylko suche fakty – kontynuuje Piotr. – Pojawiają się daty, pojawia się czyjaś interpretacja. Natomiast emocje i znaczenie pewnych sytuacji wynika tylko i wyłącznie z indywidualnych przeżyć ludzi, którzy tego doświadczyli. Pamiętam historię dziadka, który opowiadał, jak to było podczas drugiej wojny światowej w Jarosławiu. Rzeka San przegrodziła front. Wschód i zachód. Wschód był oczywiście radziecki, zachód – niemiecki. Żołnierze okopani na obu brzegach rzeki. I dziadek mówił, że ci żołnierze strzelali na wiat. Że specjalnie tak mierzyli, żeby nikomu po drugiej stronie rzeki nie zrobić krzywdy. Bo to byli tacy sami ludzie jak oni. Żołnierze frontowi. Takiej historii nie dowiemy się z podręczników.

Im bardziej zagłębiaamy się w ludzkie opowieści, tym bardziej widzimy, że we wspomnieniach nie ma czerni i bieli, nie ma strony jednoznacznie dobrej i do szczętu złej. Ocena działań człowieka nie może być zależna od „strony barykady”, po której się znalazł, a tak naprawdę – nie doświadczysz pewnych przeżyć, nie znajdując się nigdy w sytuacji realnego zagrożenia życia – nie mamy do tej oceny większych praw. O tym, jak dalece współczesne oceny i stereotypy dotyczące historii mogą mieć się z jej indywidualnym obrazem, świadczy opowieść pani Janiny z Żeglec, zapisana przez Olę Słowik-Matys.

Historia Sieroty

Przyjechała z rodzicami kilkunastoletniej Jadwigi z Kresów, jako przyszwana członkini rodziny. Już wtedy była Sierotą. Mówili, że się ukrywa, że jest Żydówką, a jej rodzina zginęła na wojnie. Kiedy w losowaniu młodzieży mającej wyjechać do Niemiec na roboty padło imię i nazwisko jej przyszywanej siostry – Sierota stała się Jadwigą. Po raz drugi przybrała fałszywe imię i nazwisko i wyjechała do centralnych Niemiec. Stamtąd pisała listy do „Mamy i Taty”, opowiadając o pracy, o tym, czy dobrze ich traktują, a w końcu o nalotach na miasteczko. W ostatnim liście, jaki dotarł do Żeglec, napisała: „Bombardują tak, że świata nie widać”. Prawdziwa Jadwiga, ukryta u krewnych, przeżyła wojnę dzięki żydowskiej dziewczynie bez imienia, której wszystko jedno było, gdzie się będzie ukrywać. Czy tutaj, czy w samym środku Niemiec. Można zadać sobie pytanie – co z tego? Co powstanie z tych strzępków? Czy jesteśmy w stanie za pomocą

urywków wspomnień, grzebania się w niemalże zgłiszczach, przeprowadzić terapię współczesności? Do czego to prowadzi? Dlaczego to robimy? Mamy nadzieję. Marzenia, że dzięki pamięci tych ludzi, Świadców, coś ułoży się całość. Że wspomnienia pozwolą zauważyć głębszy kontekst zdarzeń. Jak u Herberta, śnimy „cierpliwie / w nadziei że treść się dopełni / że brakujące słowa / wejdą w kalekie zdania / i pewność na którą czekamy / zarzuci kotwicę”.

O tym marzeniu opowiada Olga. „Bardzo chciałabym, żeby te działania troszkę przesunęły postrzeganie patriotyzmu z kreowanego, powiedzmy, mainstreamowo – hołubienia pewnych postaci, które funkcjonowały w historii powszechnej, gdzieś na drugim końcu Polski. Żeby skoncentrować się raczej na »swego nie znacie«. Poznać to swoje. Odkryć, docenić. Ludzi, którzy tutaj kształtowali to nasze społeczeństwo. Nie chodzi mi tutaj tylko o bohaterów wojennych, ale o wszelkiego typu postaci, które były ważne. Środowisko szkoły powszechnej na przykład. To są ludzie, którzy ukształtowali pokolenia. A w dużym stopniu się ich pomija [...]. I nawet jeśli dzieciaki w podstawówce się dowiadują o tych nauczycielach sprzed lat, to są to dla nich tak samo abstrakcyjne postaci jak wczesne dynastie Piastów i Jagiellonów. Dopiero takie projekty, jak te nasze wystawy – uświadamiają uczniom, jak bardzo są związani z tymi ludźmi”.

Taka historia oparta na opowieściach i wspomnieniach jest niełatwa do odkrywania, bo wybiega poza ramy. Poza określenia „wróg” i „przyjaciół”. Pokazuje, że granice państw i nazwy organizacji to konstrukcje umowne, potrzebne, ale nie najważniejsze. Szczególnie widać to w moich rodzinnych stronach – na Pomorzu, dodanym do Polski „ekstra”, w pakiecie zwanym po wojnie Ziemię Odzyskane. Spotkali się na nich rdzenni mieszkańcy (Niemcy), mieszkańcy Kresów, „Centrali”, przesiedleńcy z akcji „Wisła”. Funkcjonowało nawet okolicznościowe powiedzenie: „Jeden z Rus, drugi z Prus, a wszystkich diabeł do kupy zniósł”. A dziś?

MOJE STRONY. ZAKOŃCZENIE

W Smołdzinie, przy głównej drodze naprzeciw kościoła, jest dom pani Anny S. Latem na żółtą elewację wspinają się, wyższe już od dorosłego człowieka, różowe malwy. Kilka kilometrów dalej, naprzeciwko starej szkoły w Gardnie mieszkała, zmarła przed dwoma laty, pani Charlotte Martha Maria Judaschke.

Pani Ania

Pani Ania przyjechała do Smołdzina z rodzicami w 1947 roku, kiedy już najlepsze domy we wsi były pozajmowane. Jej opowieść rozpoczyna się w Zahoczewiu w Bieszczadach, skąd pociągiem i wozami przewieziono



*Wianek Maryi ku czci
Najświętszej Panny
uwity z najlepszych
nabożeństw z dodatkiem
pieśni kościelnych,
Wydawnictwo Dzieł
Ludowych Karoła Miarki,
Mikołów 1897*

36

ENTUZJAŚCI

→
Piotr Wawrzekiewicz

*Pieśń
o ostatecznym
Sądzie Pańskim,
drukarnia
J. Pokornej
wdowy,
Wadowice 1854*



WYPATRZYSZ NIEBODOSTRZEJCAŁNY ŚLAD



przesiedleńców z akcji „Wiśła” na tak zwane Ziemie Odzyskane. Tam zdeorientowanych ludzi, niepewnych dalszego losu ani miejsca na ziemi, stłoczonych z pierzynami, garnkami i kuframi na wozach ciągniętych przez konie, wita miejscowy proboszcz słowami: „Banderowcy przyjechali. Morze nimi zagacił”. Słyszając to, wielu z nowo przyjezdnych ucieka w las, biorąc pobliskie duże jezioro właśnie za morze, którego nigdy wcześniej nie widzieli, a słowa proboszcza odbierając jako wyrok śmierci z rygiorem natychmiastowej wykonalności...

Słuchałam tej opowieści, siedząc w fotelu w kuchni domu z żółtą elewacją i wspinającymi się na nią malwami. Nie śmiałam się odzywać, chwilami też nie widziałam pani Ani, bo obraz rozmywały łzy. Po ich drugiej stronie dwunastoletnia dziewczynka z zakrwawioną buzią i sukienką, schowana w zbożu, zadawała sobie pytanie: „Boże, dlaczego ja się nie dałam zabić. Już miałabym spokój. Już bym nic nie widziała”. Ponadtrzygodzinna rozmowa z panią Anną, spisana w Wordzie, zajmuje 45 stron znormalizowaną czcionką.

Charlotte, później Lodzia

Charlotte Judaschke wyszła za Polaka, bo dzięki temu mogła zostać na rodzinnej ziemi. W czasie, gdy Anna S. uciekała przed żołnierzem w bieszczadzkim lesie, Charlotte wymykała się przez okienko z tyłu domu, gdy tylko do gospodarstwa rodziców zbliżali się „wyzwoliciele”. Była za młoda, za ładna, aby być spokojna. Drogę ucieczki, miejsca, w których mogła się schować, miała doskonale rozpracowane. Wojsko stacjonowało w okolicznych wsiach jeszcze przez kilka lat. To nie był łatwy czas. Rodzina pani Charlotte musiała się wynieść z rodzinnego domu, zrobić miejsce osadnikom. Propaganda lansowała wrogą postawę wobec ludności autochtonicznej tak zwanych Ziemi Odzyskanych. Rodzice Charlotte podjęli decyzję o wyjeździe do Niemiec, ale nie dostali zgody ze względu na zawód rybaka wykonywany przez pana Judaschke, pożądanym na danym terenie ze względów gospodarczych. Sytuacja zaczęła się stabilizować długo po zakończeniu działań wojennych. W 1954 roku wyszła za pana S. i została w Smołdzinie. Nauczyła się dobrze polskiego. Znajomi, dla uproszczenia, zwracali się do niej Lodziu. Jej rodzina i przyjaciele z młodości zostali przesiedleni do Niemiec.


Dwie strony barykady, historie po obu stronach takie same. Kiedy raz usłyszysz się te wszystkie opowieści, nie sposób ich zapomnieć. Stają się trwałą tkanką miejsc, elementem lokalnego dziedzictwa. Pamięć, która jest nośnikiem kruchym jak życie człowieka, często przechowuje więcej niż strony książek. Przyzwyczajeni do uczenia się historii z podręczników mówimy, że „tu nic ciekawego się nie wydarzyło”. Bo przecież nie było

żadnego pogromu, nie ma tablicy ku czci pomordowanych, nie doszło do wiekopomnego spotkania sojuszników. Tymczasem każdy centymetr przestrzeni nasączony jest treścią życia. Radością pierwszych miłości w czasach, kiedy nie było jeszcze ikonek emocji. Walką o przetrwanie chorego dziecka w czasie powszechnego głodu. Duchami zmarłych, ukazującymi się ku przestrodze na skrzyżowaniach dróg. Trzeba to tylko wydobyć, opatrzeć właściwie, zachować. Tym się zajmuje archiwista społeczny. W różnych formach realizując podobny cel – wypatruje i zachowuje pomijane przez innych ślady przeszłości.

Mapa

Marzeniem Piotra Piasty jest stworzenie specyficznej mapy Brudnowa. Takiej, na której nie będzie nazw ulic i gmachów. Zamiast tego – wspomnienia i ludzie. Siostry Kiljanek i ich pieśni pogrzebowe. Zakręt między Wieniawą a Brudnowem, na którym straszy od czasu, kiedy pewnemu rolnikowi sam diabeł wskoczył na wóz. Na takiej mapie znajdują się legendy, informacje o ludziach ważnych z punktu widzenia historii miejsca. Piotr chciałby, żeby mapa była wciąż rozwijana przez mieszkańców. Żeby to oni ją tworzyli. Tak jak mieszkańcy Żeglec współtworzą kolejne wystawy. Ze śladów wspomnień, które jeszcze można złapać. Chwycić, nadać im formę, zachować dla potomnych. W myśl znanego schematu. Takiego, w którym żyjemy. Wśród przedmiotów, codziennych historii i zdarzeń. Które w jakiejś chwili niezauważalnie stają się przestarzałe, więc wymieniamy je na nowe, idziemy z duchem czasu. Wyrzucamy porwane ubrania, kupujemy ładne meble, na spotkaniu rodzinnym oglądamy nowy film. Aż bardzo mało zostanie – starych pieśni, dawnych mebli, pełnych wspomnień.

I ktoś je zauważa. Dostrzega, że są cenne. Zbiera. Kolekcjonuje. Czyści. Odgrzybia. Nagrywa. Przechowuje. Wyrzywa zapomnieniu. Łata dziurę po przeszłości w momencie, kiedy ta już prawie niknie.

I to się nie kończy. 

O autorce:**ALEKSANDRA KARMELITA**

Absolwentka Wydziału Kulturoznawstwa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Animatorka kultury współpracująca z ośrodkami na północy i południu kraju, badaczka terenowa, realizatorka i koordynatorka inicjatyw kulturalnych. Zafascynowana historią mówioną i opowieściami ludzi. Od kilku lat mieszka i pracuje na podkarpackiej wsi.

O bohaterach:**PIOTR PIASTA**

Jest artystą sztuk wizualnych, niezależnym twórcą filmów dokumentalnych i animatorem kultury. W swoich realizacjach porusza tematykę historii, czasu i pamięci, które często rozpatruje w kontekście życia wsi. Angażuje się w liczne działania małych społeczności, z którymi realizuje projekty filmowe, warsztaty i wystawy. Mieszka i pracuje w swojej rodzinnej wsi Brudnów, w gminie Wieniawa.

OLGA SŁOWIK-MATYS

Filolożka angielska, tłumaczka, redaktorka, nauczycielka, bibliotekarka i działaczka NGO. Wychowała się w Bieczu, małopolskim miasteczku przesyconym historią i zabytkami, wśród pasjonatów historii, kultury i sztuki. Pierwsze kroki w dziedzinie archiwistyki stawiała jako harcerka i licealistka, opracowując historię i zbiory pamiątek własnej rodziny. Mieszka w Żeglcach na Podkarpaciu, gdzie od 2018 roku wraz ze Stowarzyszeniem „Że Chcę” dokumentuje losy mieszkańców miejscowości i prezentuje je w formie wystaw.

PIOTR WAWRZKIEWICZ

Z wykształcenia inżynier budowy maszyn. Muzykant, archiwista społeczny, badacz literatury brukowej i kramarskiej. Przygodę z muzyką tradycyjną zaczął w 2005 roku w Stowarzyszeniu Muzyka Dawna w Jarosławiu, podczas wypraw terenowych do lokalnych śpiewaków starszego pokolenia. Uczestniczy w projektach popularyzacyjnych i wydawniczych tej organizacji. Prowadzi autorski projekt poszukiwania i digitalizacji druków ulotnych i śpiewników.



Kantyczki z pieśniami
bożonarodzeniowymi
i kołędniczymi ze zbiorów
Piotra Wawrzkiwicza



ENTUZJAŚCI

TRANSMISJA ARCHIWUM

PIOTR BEWICZ

W nowym składzie metra widać właściwie cały pociąg na przestrzał. Przód i tył znikają tylko na długich zakrętach. Zwłaszcza gdy pasażerów jest niewiele i ich sylwetki nie wypełniają perspektywy. A jest ich niewiele od ponad pół roku. Pracują zdalnie, przebywają na kwarantannie, uczą się na Zoomie, albo stracili pracę i wrócili do domów, gdziekolwiek one są. Wszystko po to, by ograniczyć transmisję wirusa. I jeśli komunikacja miejska to krwiobieg miasta, to ludzie teraz są jego krwią, jak nigdy wcześniej; osoczem, erytrocytami, trombocytami i wirusami zarazem. Rozrzedzona, uboga krew płynie do coraz słabszych już narządów. To miasto, jak pewnie setki innych na świecie, właśnie było w trakcie zawału.

Mam takie zestawienie przed sobą: siedzi mężczyzna w masce, a nad nim plakat informacyjny miasta stołecznego Warszawy: „Skorupki jajek i orzechów wrzucaj do bio”. Zdaje mi się to jakąś postapokaliptyczną wizją filmową, homeryckim żartem, jednym z majaczących znaków poprzedniego świata, mrzonek minionej codzienności, tak mało ważnych teraz, że mogłyby bezpowrotnie przepaść na śmietniku historii. Ale nie przepadną. Ktoś zrobi im zdjęcie, wspomni o nich w reportażu, naszkicuje ołówkiem, zachowa w tym czy innym archiwum.

W zatamizowanym świecie jednostek rozparcelowanej wspólnoty, wśród zdystansowanych ciał, migających sylwetek bez twarzy, wśród ludzi w zaparowanych okularach, o wyschniętych dłoniach, z komunikatorami odbitymi w źrenicach zagubionych oczu, przełączonymi w tryb przetrwania lub w najlepszym razie czuwania – ciężko jest pomyśleć o historii, trudno jest pomyśleć *archiwum*. A przecież w takich chwilach to konieczne, jak nigdy przedtem, ani potem. Teraz trzeba krzyknąć jak Pierre Nora: „Archiwizujcie, archiwizujcie, zawsze coś z tego zostanie!”¹ i rozpaczliwie, garściami, na oślep, pozbierać to, co się da, pozamykać w archiwach jakieś ślady naszego bycia w świecie. Jakby prawo do zapomnienia nabierało mocy dopiero w spokojniejszych czasach. Przecież co by stało się z historią, gdyby jej nie przenieśli na swoich barkach w heroicznym geście archiwiści, kustosze, historycy? Gdyby jej nie pochowano w skrzyniach, podłogach izb, piwnicach? Gdyby podczas bombardowań, pożarów i wojennych zawirowań nie poukrywali jej dyrektorzy archiwów wraz z załogami archiwistów, mnisi, księża, zakonnice, gdyby działacze i działaczki nie wywieźli jej na taczkach i furmankach do bezpiecznych kryjówek? Polska i pewnie światowa historia zna mnóstwo takich przypadków. Zawsze, wszelkie stworzenie Pana Boga chwali, znajduje się pośród nas ktoś, kto dostrzeżga, o jaką stawkę toczy się sprawa.

Wspominam o tym wszystkim, żeby przekroczyć za chwilę pewną granicę. Żeby pokazać, że gest archiwizowania to może nawet jeszcze coś więcej niż samo bycie archiwistą, służą przy ołtarzu historii. Że dostrzeganie

1
Za: P. Ricoeur,
*Pamięć, historia,
zapomnienie*,
przeł. J. Margari-
ski, Universitas,
Kraków 2007,
s. 224.

w rzeczach i sprawach, które jeszcze trwają z nami w teraźniejszości (albo nie dały się jeszcze zapomnieć, by móc je wspominać), ich historycznego potencjału, historiograficznego ładunku, właściwe jest pewnej wrażliwości artystycznej. Tak, jakby patrzeć na zdarzenia przez kadrujące dłonie historii, niczym malarz zabierający się za malowanie pejzażu. Tworzenie archiwum to transmisja tego, co jest, w to, co będzie.

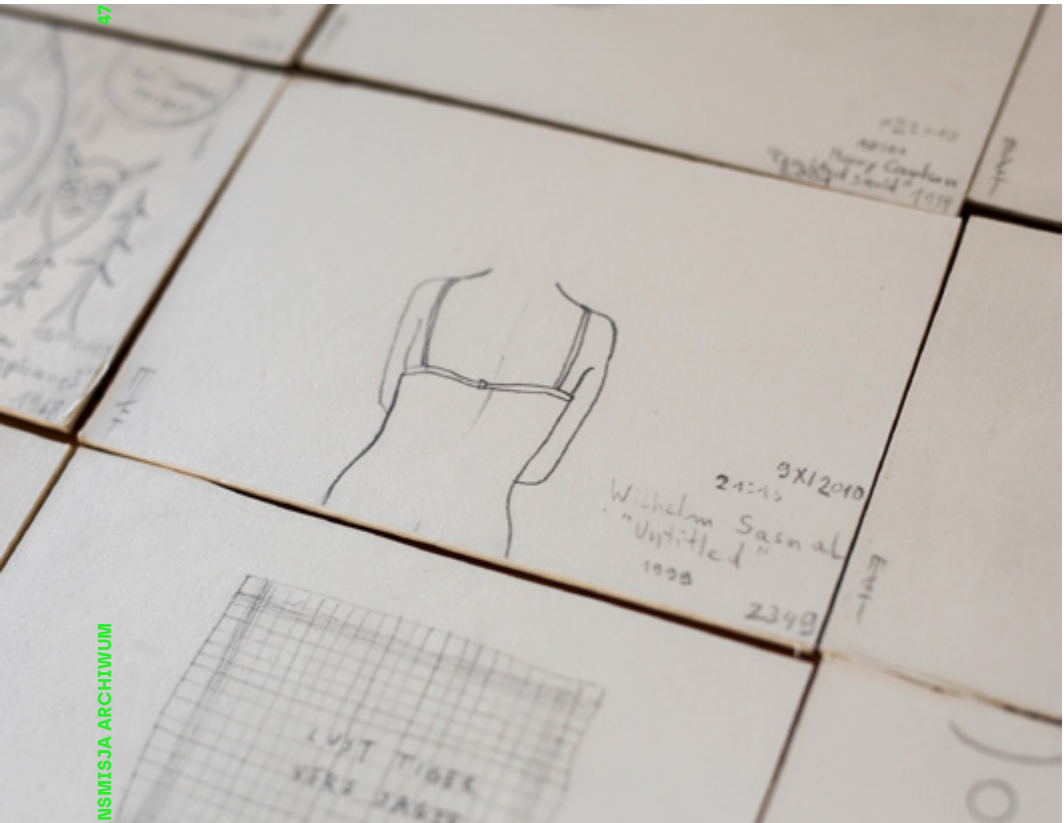
Jadę do Mariusza. Ulica jest ze wszech miar pusta. Pustka wyciąga z niej wszystko, co wcześniej się ukrywało. Wyciąga kroki spod nóg. Tak jakby to ulica szła za mnie. Przecinają ją tylko, jak małe żyłki, kolejki ludzi: do piekarni, apteki, do kebaba mniejsza, nawet do optyka. W małych sklepikach zaordynowano limit: dwie, trzy osoby. W metrze więcej, 72 osoby na wagon, ale o tej porze nie ma prawie nikogo. Wsiadam na Świętokrzyskiej. W bloku z neonem Coca-Coli Mariusz ma swoją pracownię. Dotychczas spotykaliśmy się na parterze w Cafe Relax na długie godziny partii szachów. (Obaj jesteśmy szachistami, poznaliśmy się parę lat wcześniej na amatorskim turnieju). Ale teraz podają tam tylko kawę na wynos – o szachach nie ma mowy. Winda zabiera mnie na szesnaste piętro. Jest tu jasny, szeroki widok na całą wschodnią część miasta i dalej.

Szeroka perspektywa jest potrzebna, gdy myśli się o archiwum w innym niż instytucjonalnym kontekście: regały, teczki, zespoły, kategoria archiwalna „A”, kategoria archiwalna „B”, inwentarze archiwalne i tak dalej. Reżim archiwum, opresyjność jego porządku i instytucjonalna, co by nie mówić, nuda, skutecznie mogą zakrywać ideę, która za archiwum stoi. Tą ideą jest oczywiście pamięć i transcendentalna wręcz właściwość archiwum polegająca na transmisji rzeczy, wydarzeń i zdarzeń za pomocą dokumentów, obrazów, fotografii, dzieł – w coś, co daje się pamiętać.

Archiwum jest ucieleśnieniem idei pamięci, jest medium jej transmisji. Kiedyś wyczytałem u Michela Foucaulta, który właściwie nawiguje ten postmodernistyczny dryf teorii archiwalnej, że wszystko, co zostało wypowiedziane, przechodzi do dyskursu archiwum. Uważam, że potrzeba jeszcze intencjonalności, samej chęci powołania archiwum do życia. Dlatego to, czym jest archiwum, to w pierwszym rzędzie wspólnota artefaktów w nim zebranych. Odpowiedź na pytanie o rodzaj tych artefaktów jest zarazem określeniem przymiotnika archiwum; na przykład archiwum filmowe, fotograficzne, państwowe. A ponieważ przeszłość nie jest nam bezpośrednio dana, możemy ją poznać tylko w sposób pośredni, oddając się najpierw w ręce tego, który archiwum stworzył, spoglądając na przeszłość przez okular z optyką dostrojoną do jego oczu. Później dopiero pojawia się cała opowieść o obiektywizmie, historiografii, archiwalnych badaniach, o tym, czy historia napisana na podstawie źródeł z tego czy innego archiwum będzie wystarczająco kompletna, niewyikłana,



Rysunki Mariusza Tarkawiana
przedstawiające dzieła artystów
współczesnych



niepolityczna – to pytania wtórne wobec archiwum. Najpierw bowiem jest opowieść o jego twórcy.

– Jakie archiwalia posiadasz w swoich zbiorach? – pytam, rozglądając się po niewielkiej pracowni.

– W segregatorach są różne prace z czasów dzieciństwa, liceum, studiów i tak dalej, ułożone chronologicznie. – Mariusz, wskazując na półkę, zdejmuję z niej długopisy, pisaki, ostryzki, papierosy, by dobrze było je widać i bym mógł je sfotografować.

Robię zdjęcia, chociaż słońce zdążyło naraz zniknąć i chyba nie będą się do niczego nadawały. Mariusz tymczasem rozkłada nieśpiesznie planszę do szachów, stawia bierki, jakby zamiast tych bierek trzymał cienkopis nad kartką papieru. Myślę sobie wtedy, że pamięć jest to jakiś niesłychanie immanentny fenomen, który nie tylko w człowieku trwa, jak jakaś idea, ale jest fizycznie w jego ciele. Jest więc pamięć dłoni pianistów, rzemieślników i artystów, pamięć ciała baleriny, pamięć brzuchów dzieci, których rodzice cierpieli głód, pamięć miejsc, nad którymi duch tych miejsc się unosi, pamięć rodzin czy wreszcie pamięć zbiorowa całych wspólnot i narodów.

Mariusz Tarkawian, rocznik osiemdziesiąty trzeci, artysta grafik, kronikarz, dokumentalista. Absolwent Wydziału Artystycznego UMCS w Lublinie. Autor projektów: *Rysunki Podejrzane*, *Moja Historia Sztuki*, *Potencjalni Artyści*. W roku 2006 założył firmę rysunkową Szybki Bill, z ofertą brzmiącą mniej więcej tak: „Rysuję z prędkością automatu! Rysuję ostrzej niż cyfrowy aparat fotograficzny! W deszczu, zimą, nocą, w trudnych i ekstremalnych warunkach! Tam, gdzie nie pomoże żaden sprzęt, tam wkraczam i rysuję! Wesela, chrzciny, śluby, rozprawy sądowe, uroczystości wszelkie, w tym obchody świąt państwowych oraz pogrzeby, studniówki i inne. Ceny rysunków określane są w zależności od sytuacji. Ksero lub sygnowane kopie znacznie taniej”. W 2009 roku Tarkawian został nagrodzony stypendium Kaiserring, przyznawanym młodym twórcom przez muzeum sztuki Mönchehaus w Goslar. Swoje prace wystawiał w Niemczech, Francji, Stanach Zjednoczonych, Korei Północnej. Brał udział w Bergen Assembly Triennale, Dionysia Art Residency w Thingeyri na Islandii czy w Europejskich Biennale Sztuki Współczesnej w Murcji i Kartagenie w Hiszpanii. Został wyróżniony w rankingu Kompas Młodej Sztuki 2018 jako jeden z najbardziej zyskujących na wartości artystów młodego pokolenia w Polsce. Wnikliwy obserwator rzeczywistości. Jego prace mają charakter reporterski i cechuje je fotograficzna precyzja.

– W pudełkach są dwa cykle, jeden to *Looking for Art*, prowadzony od 2006 roku. Zawiera rysunki przedstawiające dzieła artystów z całego świata, powstałe po roku 1989 (głównie z Europy). Jest też cykl *Anticipation of*

Art prowadzony od 2008 roku przedstawiający dzieła sztuki żyjących artystów, które oni stworzą prawdopodobnie w przyszłości. – Usiedliśmy już nad partią szachów. Gramy obronę królewsko-indyjską.

– Jak to, w przyszłości?

– Jest to rodzaj futurologii, archiwum z przyszłości – odpowiada, jakby to był truizm, a ja już wiem, że jestem we właściwym miejscu i czasie.

– Jak wiele jest tych rysunków? – pytam dalej.

– Sam cykl *Looking for Art* liczy już ponad 2400 rysunków, ale spora część z nich się sprzedawała. Większość prac jest teraz w magazynie galerii.

Tarkawian zachował prawie wszystkie dzieła, które stworzył, odkąd w ogóle zaczął rysować. Teraz w swoich zbiorach fizycznych i cyfrowych ma ich już dziesiątki tysięcy. Sam przyznaje, że jest w tym pewna obsesja, potrzeba zachowania wszystkiego, co wyszło spod jego ręki. Jak by powiedział Derrida: „archiwalna gorączka”.

– Zachowuję wszystko, co robię, w swoim archiwum prywatnym. Skanuję, opisuję, nadaję układ chronologiczny. Jest w tym pewna konieczność dokumentowania i archiwizowania tego wszystkiego, co mogłoby się następnie przerodzić w archiwum. Może jest to jakiś rodzaj obsesji, wyrachowania, ale jest w tym głównie coś z potrzeby śledzenia rozwoju mojej działalności i sztuki współczesnej w ogóle. Sprawia mi to też zwyczajnie przyjemność. Ma to dla mnie znaczenie sentymentalne i poznawcze.

Gdy Jacques Derrida w 1995 roku pisał *Gorączkę archiwum* instytucja archiwum powoli była już wciągana między tryby wielkich zwrotów w humanistyce, które nadawały jej coraz to nowe znaczenia i poszerzały jej praktyki. Przekształcały formę archiwum, wyciągały to, co ukryte, chowały to, co przedtem było jawne. Zwrot lingwistyczny dodał mu wypowiedzi kulturowej, zwrot kulturowy z kolei zorientował na semantykę historyczną; zwrot ikoniczny i wizualny dodał archiwum w najlepszym razie kilometry półek i szuflad na zwoje taśmy filmowej i fotografii; a zwrot cyfrowy spędza teraz sen z powiek archiwistów i historyków, czy aby nie czekają nas wieki ciemne, jeśli nagle wyłączą internet. W każdym razie archiwum już od kilku dekad poszukuje swojej tożsamości.

Te niezliczone interpretacje i redefinicje archiwum są powodem, dla którego to mój przyjaciel Mariusz Tarkawian jest bohaterem tego tekstu. Od paru lat tworzy on bowiem w Galerii Białej w Lublinie swoje monumentalne dzieło *Kolokwium z historii sztuki i cywilizacji*, które jest artystycznym zapisem wernisaży odbywających się w tejże galerii od 2016 roku.

Tymczasem gramy wariant, który nazywa się „atak czterech pionów”. Jeszcze parę ruchów i rozpocznie się gra środkowa, czyli etap gry, w której kończy się repertuar debiutów szachowych. Gra jest wyrównana, za oknem migają blade światła Stadionu Narodowego. Na parapecie leżą





TRANSMISJA ARCHIWUM

←
Mariusz Tarkawian
w swojej pracowni



dziesiątki cienkopisów. Odkąd pamiętam, gdy umawialiśmy się na szachy z Mariuszem, zawsze zastawałem go w sytuacji, w której akurat rysował to, co dzieje się w zasięgu wzroku. Goście przy barze w Cafe Relax, ludzie tańczący flamenco w Pasażu Wiecha, kobieta pracująca przy komputerze. Wszystkie te efemeryczne chwile zamykał w swoim szkicowniku. Jakby to, co publiczne, zamykał w tym, co prywatne. Zagaduję o *Kolokwium z historii sztuki...*

– Do tej pory zostało tam narysowanych kilkaset prac z kilkudziesięciu wystaw. Są to dość wiernie kopie, ale pamiętajmy, że wszystkie są czarno-białymi rysunkami, więc nie ma tam koloru. Są to zatem jakby powidoki po tych dziełach, ich esencja, kształt, ich cienie. Cały korytarz ma łukowate sklepienia, niczym w świątyni. Przypomina to atmosferę jaskinię w Lascaux z jej prehistorycznymi rysunkami. Będę to robić, dopóki w Galerii Białej będą odbywały się wystawy. Jeśli galeria zostanie kiedyś zamknięta, pozostaną po niej rysunki na korytarzu; po wystawach, wernisażach, po dziełach pozostaną jakieś ślady.


Mysząc o archiwum, tworzonym przez Tarkawiana w chłodnym jak archiwalny magazyn korytarzu przy Peowiaków 12 w Lublinie, należy przede wszystkim odrzucić najpierw znane metodologie gromadzenia, przechowywania i udostępniania właściwe praktykom archiwalnym na rzecz pojęcia transmisji archiwum. W koronkowo utkanym z atramentu magazynie współczesnej sztuki spotkanie z niedawną historią, z artystycznym przedstawieniem rzeczywistości minionej, jest jak bycie pasażerem pociągu, badaczem-turystą, który niesiony badawczą ciekawością inspiruje się przestrzenią do podejmowania nowych przedsięwzięć. Tutaj pytanie o to, jak bardzo dzieło artystyczne przybliży historyka do poznania prawdy o przeszłości, ustępuje pytaniu o to, w jaki sposób archiwum może zainspirować badacza. Archiwum – widać to na przykładzie *Kolokwium ze sztuki...* Tarkawiana – kolejny raz jawi się bowiem jako nieobiektywne, stanowiąc wyraz niemożności odczytania przeszłości w kształcie, w jakim ona wystąpiła. Trzeba się jednak na to po prostu zgodzić. Ta ciemna strona archiwum nie przysłania blasku idei, która stoi u jego źródła. Nieprzejednanego światła chęci pamiętania świata z niewiadomych przyczyn i mglistych powodów; światła, które jednak oświetla człowiekowi drogę przez historię, ale które daje też rozliczne cienie ludzkich wyobrażeń o przeszłości, niby w jaskini.

U Tarkawiana archiwum to jest doświadczenie historii. Skądinąd wszystko dziś musi być doświadczeniem. Wszystko to jest *experience*. W końcu z doświadczeniem związana jest emocja, a emocja to, krótko mówiąc, waluta kapitalizmu. Przytoczę jedną sytuację. Otóż znalazłem pewnego dnia zupełnym przypadkiem na stronie Open Society Archive ulotkę

podziemia solidarnościowego z 1983 roku opatrzoną tytułem *Uwolnić politycznych*. Hasło dotyczyło Michnika, Kuronia, Wujca i Romaszewskiego, a na jej odwrocie, nieoczekiwanie, było napisane odręcznie mniej więcej coś takiego: „Drogi Panie Stanisławie, zbliża się zima, chłopcy rosną, nie mają już ubrań, całą rodziną modlimy się o wolną Polskę, w pana i pana rodziny intencji idziemy na Jasną Górę do Najświętszej Panienki” i tak dalej, rozmazany długopis, ale ładunek emocjonalny potężny. Nagle, na odwrocie tej ulotki taki faktograficzny i afektywny fikołek! To jest właśnie stawka, o którą toczy się ta archiwistyczna gra. To jest esencja niepaństwowego, nieinstytucjonalnego archiwum.

Po 28 ruchu mogę powiedzieć już śmiało, że gra przeszła do fazy końcowej. Zostało nam równo po skoczku, wieżach i dwóch pionach. Zaraz rozstrzygnięcie partii. 64 pola, 32 bierki, a wynik tej „batalii idei” – jakby powiedział Magnus Carlsen, obecny szachowy mistrz świata i jeden z największych szachistów wszech czasów – może rozstrzygnąć się nawet w dwie minuty.

Zupełnie inaczej niż kwestia miejsca archiwum w historiografii czy statusu archiwum w ogóle. W XX i XXI wieku, jeśli przyjrzeć się literaturze przedmiotu, można zauważyć, że zainteresowanie tematyką archiwum wśród artystów znacznie wzrosło. Nie tylko prowadzą oni pogłębione badania historyczne jeszcze przed stworzeniem swojego dzieła, ale nadają też nowe znaczenia archiwum. U Tarkawiana archiwum to nie tylko dzieło artystyczne, a gest archiwizacji to coś więcej niż artystyczna praktyka. To transmisja przeszłości do przyszłości, nowe archiwalne medium. Tutaj nie ma jasnego rozstrzygnięcia, czym jest albo czym nie jest archiwum, albo kim jest archiwista, taki z krwi i kości, oczywiście. Są raczej tylko trucizny i zarazem lekarstwa, transmitowane krwiobiegami naszych samotnionych pamięci do naszych opinii, sądów, przekonań i wspomnień.



O autorze:
PIOTR BEWICZ

Doktor nauk humanistycznych w zakresie historii, archiwista, asystent naukowy w Katedrze Historii Filmu Uniwersytetu Łódzkiego. Autor licznych tekstów dotyczących teorii archiwalnej, a zwłaszcza miejsca archiwum we współczesnej historiografii. Szachista z III kategorią szachową. Miłośnik sztuki współczesnej.

O bohaterze:
MARIUSZ TARKAWIAN

Ukończył Wydział Artystyczny na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. W swojej twórczości podejmuje rolę samowańczego futurologa oraz dokumentalisty świata sztuki. W komiksowej stylistyce utrwała dzieła innych artystów – zarówno istniejące, jak i wymyślone. Tworzy również przepełnione humorem i ironią rysunki reportażowe, które są szybką rejestracją zwykłych wydarzeń. Mieszka i pracuje w Warszawie.



ENTUZJAŠCI

Z MIŁOŚCI DO BIAŁEGO ANIOLA

RAFAŁ SKÓRSKI

Odnalazł w Azji Środkowej akt urodzenia Anny German. Ustalił losy jej ojczyzna i przyrodniego brata, o którym wcześniej nikt nie wiedział. Jest posiadaczem największej kolekcji dokumentów i zdjęć artystki. To na podstawie jego książek powstał scenariusz bijącego rekordu popularności serialu o piosenkarce. Mający polskie korzenie Iwan Ilczew-Wołkanowski jest przykładem, że archiwista społeczny to nie zawód ani hobby, ale sposób na życie.

Miał sześć lat, kiedy w 1988 roku w domu babci znalazł płytę winylową z wizerunkiem pięknej kobiety na okładce. „Kto to jest?” – zapytał. „To polska piosenkarka Anna German. Jej życie było pasmem tragedii” – odpowiedziała mu babcia. Mały Iwan nie wiedział, gdzie jest Polska. Nie widział też nigdy żadnej Polki. W jego dziecięcej głowce mnożyły się pytania. Czemu ona jest polską piosenkarką, skoro wygląda jak Rosjanka? Czemu miała tragiczne życie – przecież ma twarz anioła? Postanowił odtworzyć tę płytę. I wtedy usłyszał głos anioła z okładki – Annę German śpiewającą po rosyjsku.

– Kilka lat później babcia znów mi pomogła. W Moskwie do sklepu z płytowymi rarytasami trafił z Polski pierwszy kompakt Anny German. Był to jedyny egzemplarz w całej rosyjskiej stolicy. Płyty nikt nie chciał kupić, bo kosztowała sto dolarów, co wówczas było zawrotną sumą. Babcia dała mi tę stówę, choć stanowiła ona równowartość jej miesięcznej emerytury. Nabyłem album i po raz pierwszy usłyszałem, jak German śpiewa po polsku – wspomina Iwan Ilczew-Wołkanowski. Od razu kupił w księgarni słownik polsko-rosyjski, żeby przetłumaczyć widniejące na okładce tytuły piosenek. I zaczął uczyć się języka. Dziś po polsku mówi, czyta i pisze, choć nigdy nie brał żadnej lekcji. Jako podręczniki służyły mu wspomniany słownik, piosenki Anny German i książka o niej, autorstwa Marioli Pryzwan, a jako motywacja – wielka miłość do artystki.

Pierwszą wartościową pamiątką była koszula

Niewykluczone, że w nauce języka Iwanowi pomogły także jego polskie korzenie. Wiedział o nich od dawna, ale mając smykałkę do genealogii, ustalił na ten temat więcej, niż można by się spodziewać.

– Nazwisko Wołkanowski, które nosili moi przodkowie w linii babci, jest polskie. Często występuje na terytorium dzisiejszej Białorusi. Ci przodkowie pochodzili ze wsi na terenie obecnego obwodu grodzieńskiego. Te ziemie w przeszłości były polskie, rosyjskie, a potem białoruskie, co sprawiło, że mamy tam do czynienia z prawdziwą mieszanką słowiańskiej krwi – wyjaśnia Iwan. Co ciekawe, w jednej ze wsi, z których pochodzili Wołkanowscy, niektóre rodziny noszące to nazwisko były wyznania prawosławnego, a inne katolickiego. – Dla mnie bardzo ważne jest moje

wewnętrzne odczuwanie języka polskiego jako ojczystego. Nawet białoruskiego nie rozumiem tak dobrze jak jego. Widać w mojej głowie funkcjonuje jakiś polski pierwiastek – dodaje.

Pierwszą wartościową pamiątkę po Annie dostał jednak z Rosji, a nie z Polski. Mieszkająca w Samarze fanka piosenkarki podarowała mu należącą do artystki... koszulę. To był początek jego pasji związanej z gromadzeniem archiwaliów i pamiątek po German. Prowadząc poszukiwania, zdobywał kolejne unikatowe nagrania, taśmy, slajdy, klisze fotograficzne, zdjęcia, autografy czy rękopisy jej piosenek.

– Zacząłem też jeździć po świecie i odwiedzać miejsca związane z Anną. Pierwszym przystankiem w tej podróży była oczywiście Polska. Po raz pierwszy przyjechałem tu latem 2002 roku, na zaproszenie rodziny German. Mieszkałem w jej domu na warszawskim Żoliborzu, pod jednym dachem z jej mężem, synem i matką. Następnie pojechałem do Zielonej Góry, gdzie w tym samym roku odbył się pierwszy w historii Międzynarodowy Festiwal Piosenki im. Anny German. A potem krążyłem po całym kraju. Byłem w Krakowie, Wrocławiu, Sopotcie i wszędzie znajdowałem ślady Anny – wspomina Iwan Iliczew-Wołkanowski.

Kolejnym punktem na mapie jego poszukiwań stały się Włochy. W Mediolanie odnalazł budynek, gdzie mieściła się firma fonograficzna, z którą piosenkarka podpisała kontrakt. Pojechał też pod Bolonię, aby zobaczyć miejsce wypadku z 1967 roku, w którym piosenkarka odniosła ciężkie obrażenia.

Wiele razy odwiedzał Azję Środkową. Był w miejscu urodzenia artystki, w wioskach uzbeckich i kirgiskich, gdzie spędziła dzieciństwo. W Kazachstanie, w mieście Taraz, gdzie chodziła do szkoły podstawowej, zorganizował nawet poświęcony jej festiwal. Odnalazł też dworzec kolejowy i peron, z którego w 1946 roku dziesięcioletnia Anna razem z rodziną wyjechała do Polski.

Dom, który stał się muzeum Anny German

Z pasjonata Iwan Iliczew-Wołkanowski szybko przeistoczył się w społecznego archiwistę. Dokumentując życie Anny German, prowadził poszukiwania w archiwach oraz u osób prywatnych. Ludzie, którzy posiadali przedmioty związane z piosenkarką, dowiadując się o jego aktywności, często mu je przekazywali.

– Pewnego dnia w skrzynce pocztowej znalazłem grubą kopertę. Gdy ją otworzyłem, ujrzałem ponad setkę oryginalnych czarno-białych i kolorowych slajdów. Pochodziły z sesji zdjęciowej Anny zrealizowanej w 1974 roku. Okazało się, że autor, warszawski fotografik Witold Borewicz, znalazł je w domu, na antresoli. W latach siedemdziesiątych ubiegłego



Plakat z lat siedemdziesiątych
zapowiadający koncerty
Anny German
w Polsce i ZSRR



Dokumenty, zdjęcia i wycinki prasowe dotyczące Anny German zgromadzone w domu Iwana Ilczewa-Woiknowskiego

wieku Borewicz robił zdjęcia polskich gwiazd dla Pagartu. Agencja wybrała do reklamy z Anną trzy slajdy, a pozostałe 120 zostało u fotografa.

Dziś moskiewski dom Iwana Iliczewa-Wołkanowskiego to prawdziwe muzeum artystki. Ściany zdobią obrazy i rysunki przedstawiające jej wizerunek. Można tu znaleźć ponad czterysta nagrań Anny German, w tym wiele nieznanych lub nigdy nie prezentowanych publicznie. Wśród nich są nagrania domowe, z prób, koncertów i festiwali. Równie cenny jest zbiór materiałów wideo ze Związku Radzieckiego, Polski, Francji i Włoch – łącznie niemal piętnaście godzin taśm. Iwan jest także posiadaczem największej kolekcji zdjęć Anny German, w tym wielu pochodzących z albumów prywatnych. Składają się na nią ponad dwa tysiące fotografii! W muzeum znalazły się także stroje koncertowe, ozdoby, kosmetyki i perfumy artystki. Uzupełnienie stanowi kilka tysięcy wycinków z prasy z lat 1963–2020.

– Mam też ogromną kolekcję płyt winylowych Anny German. W Związku Radzieckim ukazały się one w kilkumilionowych nakładach. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych co roku wydawano jakiś jej album z nową okładką. Zebrałem 99 procent wersji okładkowych jej wszystkich radzieckich płyt. Mam też jej wszystkie polskie albumy winylowe i tak zwane czwórki oraz kilkadziesiąt pocztówek dźwiękowych. Posiadam również komplet czarnych płyt Anny wydanych we Włoszech – wylicza Iliczew-Wołkanowski.

Oprócz wspomnianego unikatowego zbioru fotografii i dokumentów Iwan zgromadził także obszerną kolekcję listów piosenkarki do radzieckich przyjaciół. Wszystkie napisała pięknym rosyjskim. Perełką archiwum jest jednak dokument, którego nie miała w swoim posiadaniu nawet artystka. To jej akt urodzenia z 1936 roku. – Znalazłem go w Uzbekistanie. Zawiera informacje o jej narodzinach, w tym dokładną datę, dane rodziców i miejsce zameldowania. To pierwszy dokument w życiu Anny German!

Koloryzacja czarno-białych zdjęć i remastering nagrań

Te niezwykle zbiory stały się podstawą jego książek o artystce. Kilka z nich ukazało się w Rosji, a dwie także w Polsce. Pierwsza, wydana po rosyjsku, była rodzajem osobistego albumu Anny, opracowanego na podstawie zdjęć i archiwaliów. Na drugą, pod tytułem *Anna German. Sto wspomnień o wielkiej piosenkarce*, złożyły się głosy o piosenkarce – Rosjan, Polaków, Uzbeków, przedstawicieli innych narodów, z którymi się zetknęła. Cały nakład wydanej w 2019 roku publikacji rozszedł się błyskawicznie.

Iliczew-Wołkanowski pracuje obecnie nad skatalogowaniem zbiorów. Oprócz ich porządkowania przeprowadza także remastering nagrań. Zna się na tym, ponieważ zawodowo zajmuje się produkcją muzyczną

i organizacją koncertów. Sam także śpiewa i występuje jako konferansjer. W Rosji wydał kilka albumów, a przed pandemią często gościł w Polsce z recitalami. Był również gospodarzem festiwalu i jurorem w konkursach muzycznych. W ramach opracowywania archiwum fotograficznego zainicjował projekt koloryzacji czarno-białych zdjęć Anny. Efekty są oszałamiające. Artystka jawi się na barwnych fotografiach jak żywa. Iwan stawia na zgodność z oryginałem. Dzięki swoim zbiorom wie bowiem, jakiego koloru była ta czy inna suknia piosenkarki albo jak wyglądała scena festiwalowa, na której występowała.

Zwieńczeniem wysiłków archiwisty ma być muzeum Anny German, takie z prawdziwego zdarzenia. Na początek w formie wirtualnej. – Zależy mi, żeby każdy mógł je odwiedzić. Obejrzeć wideo, posłuchać piosenek, przejrzeć zdjęcia, przeczytać artykuły z prasy, zapoznać się z dokumentami. Stworzenie takiego muzeum na profesjonalnym poziomie wymaga jednak ogromu pracy i dużych nakładów finansowych. To projekt obliczony na wiele miesięcy, a jego efekt finalny będzie uzależniony od znalezienia sponsora – mówi Iwan.

Dokumenty odnalezione wśród śmieci, łopat i wiader

Na rezultaty archiwalnej działalności Iliczewa-Wołkanowskiego ogromny wpływ mają ludzie, których spotyka na swojej drodze. To dzięki ich życzliwości zdobywa cenne pamiątki związane z Anną German. Przełomem w rozwijaniu jego pasji stało się wspomniane spotkanie z rodziną artystki. Był 2001 rok, gdy do Moskwy, na zaproszenie Instytutu Polskiego, przyjechali obaj Zbigniewowie Tucholscy – mąż i syn Anny German. Iwan przyjaźnił się z nimi, dostał zaproszenie do Polski.

– Pojechałem, nie znając słowa po polsku. Mieszkałem w Warszawie przez całe lato 2002 roku i codziennie zwiedzałem stolicę. Moim przewodnikiem po mieście był Zbyszek Tucholski junior. Po raz pierwszy spróbowałem wówczas słynnych lodów na warszawskiej Starówce, a on... czegoś z oferty McDonald's – wspomina ze śmiechem. W domu Anny German na Żoliborzu mieszkała jeszcze pani Irma, matka Anny German. Miała wtedy już ponad dziewięćdziesiąt lat. – To była fantastyczna osoba i zawsze czule ją wspominam. Los jej nie oszczędzał. Uratowała życie swojej córki i matki, kiedy w ZSRR były straszne represje. W paszporcie miała wpisaną narodowość „Niemka”. A wiadomo, co w latach czterdziestych ubiegłego wieku z Niemcami robiono w Związku Radzieckim. Na szczęście Irma z rodziną uciekła. Nie jestem pewien, czyby przetrwali, jeśliby zostali. Na pewno jednak świat nigdy nie usłyszałby anielskiego głosu Anny German, gdyby w 1946 roku nie wsiadła do pociągu jadącego do Polski – dodaje.

Obecnie Iwan Iliczew-Wołkanowski zbiera materiały do nowej książki *Wróć do Urgenczu. Azja Środkowa – ojczyzna Anny German*, poświęconej okresowi spędzonemu przez artystkę w ZSRR. Lata 1936–1946 to intrygujący czas w jej życiu, a przy tym najmniej znany. Jej dzieciństwo było naznaczone przez tragedie i nieustający żal. Ojciec został zastrzelony, wujek także, matka ukrywała się przed NKWD, wybuchła wojna. Głód, śmierć brata. Wędrówki po wioskach Azji Środkowej w poszukiwaniu mieszkania. To wszystko ją spotkało w ciągu tej feralnej dekady.

Iwan postanowił pojechać do Azji Środkowej, aby przejść tę samą drogę, którą podążała mała dziewczynka Anja Martens, znana potem jako Anna German. Ta córka Niemki właśnie tam nauczyła się porozumiewać po uzbecku, kazachsku, kirgisku. W domu mówiła także po rosyjsku, niemiecku, fryzyjsku i w *plautdietsch* (języku, którym posługiwali się menonici, zamieszkali w Rosji).

– Odbyłem kilka podróży do Azji Środkowej w poszukiwaniu śladów Anny. Znalazłem budynek, w którym przyszła na świat. Przeszedłem pieszo jej pierwszą w życiu trasę – ze szpitala do miejsca, w którym była ziemianka, gdzie gnieździła się jej rodzina. Oprócz aktu urodzenia odnalazłem jej krewnych oraz szkołę w odległej kirgiskiej wiosce Ak-Debe, gdzie uczęszczała do pierwszej klasy. Zdobyłem jej szkolne dokumenty i dokumenty jej matki Irmy, która była nauczycielką. Oryginały z 1943 roku, zawinięte w stare gazety wojskowe, leżały w piwnicy wiejskiej szkoły, wśród śmieci, łopat i wiader – mówi z przejęciem Iliczew-Wołkanowski. Szukając dokumentów o dzieciństwie German, dotarł też do Kazachstanu.

– W mieście Taraz, gdzie w latach 1944–1946 mieszkała jej rodzina, odnalazłem szkołę, w której Anna chodziła do drugiej i trzeciej klasy, oraz szkołę, w której jej matka pracowała jako nauczycielka. Spotkałem się też z ludźmi, którzy w 1979 roku gościli w tym mieście Annę podczas trasy koncertowej. Udało mi się nawet ustawić tablicę pamiątkową w głównym hotelu Tarazu.

Historia przyrodniego brata znajdzie wyjaśnienie

Wizyta na dworcu kolejowym w Tarazie, skąd w 1946 roku odjechał pociąg towarowy wywożący z Kazachstanu polskich repatriantów, w tym rodzinę Anny German, stała się symboliczną kłamrą spinającą książkę.

– Udało mi się znaleźć ludzi, o których istnieniu nikt nie wiedział. Najbardziej zaskakująca historia dotyczy ojczyzna Anny, dzięki któremu rodzina trafiła do Polski. To Herman Gerner, czyli Henryk Krzeczkowski. W Polsce niedawno ukazało się poszerzone wydanie książki o nim, noszącej tytuł *Henryk*. Połowę jej treści stanowią moje listy do autora, Wojciecha Karpińskiego. Losy Krzeczkowskiego wyjaśniły się z kolei dopiero kilka lat temu za sprawą mojej książki – mówi Iliczew-Wołkanowski.


Prawdziwą sensacją w tej ostatniej publikacji jest rozdział poświęcony drugiemu bratu Anny German i jego rodzinie. Niewiele osób wie, że piosenkarka była nieślubnym dzieckiem. Jej ojciec był żonaty z Niemką z Donbasu, miał syna z tego małżeństwa. Anna nigdy nie spotkała przyrodniego brata, choć nawzajem się szukali. Dramatyczna historia poszukiwań zostanie opowiedziana właśnie w nowej książce Illiczewa-Wołkanowskiego. Znajdą się w niej zdjęcia przyrodniego brata.

Pisząc książki o piosenkarce, Iwan nie ukrywa żadnych informacji na jej temat. Jak mówi, jest to o tyle łatwe, że faktów, których mogłaby się wstydić, po prostu w jej życiu nie było.

– Opisywać należy wszystko, nawet wielkie tragedie, bo są one przykładem tego, jak ta kobieta potrafiła sobie z nimi radzić. W ciągu dwudziestu lat mojej działalności archiwisty nie spotkałem ani jednego człowieka, który powiedziałby złe słowo o Annie. Jej osobowość uspokajała ludzi, zaszczepiała pierwiastek dobroci nawet u złych osób. German dawała przykład, jak żyć i kochać życie. Naprawdę była białym aniołem! Nie była święta z punktu widzenia religijnego, ale my zawsze potrzebujemy przykładów takich ludzi jak Anna, aby czerpać z nich siłę do stawiania czoła trudnościom – opowiada Illiczew-Wołkanowski.

Aktywność dokumentalisty życia Anny German została dostrzeżona zarówno w Polsce, jak i w Rosji.

– Przed pandemią bywałem w Polsce cztery, pięć razy w roku. Wizyty te zawsze były związane z jej osobą. Uczestniczyłem w wieczorach autorskich, festiwalach, prezentacjach, poszukiwałem dokumentów w archiwach, spotykałem się z ludźmi, którzy pracowali z Anną, i oczywiście z jej rodziną. W Rosji było to samo: książki, koncerty, aktywna promocja twórczości. Niektórzy mówią, że German jest teraz jeszcze bardziej popularna niż za życia. Myślę, że to prawda. W latach siedemdziesiątych nie było Internetu, a Anna była znana tylko tam, gdzie dotarł jej głos z radia lub płyt. Teraz nie trzeba kupować nośników, wystarczy włączyć YouTube.

I rzeczywiście, po wpisaniu w serwisie jej nazwiska można zobaczyć niemal wszystkie publiczne występy Anny, a liczba wyświetleń piosenek jest znacznie większa niż u wielu polskich i rosyjskich artystów współczesnych. Analizując przekrój odbiorców twórczości Anny German w Internecie, można przypuszczać, że ludzie starsi stanowią mniejszość. Dominuje publiczność młoda i w średnim wieku. Illiczew-Wołkanowski przyznaje, że ludzie, dowiadując się o jego pasji związanej z Anną German, są często zaskoczeni. Ma bowiem 38 lat, reprezentuje pokolenie lat dziewięćdziesiątych, które jej nie słuchało. Ale teraz nadrabia te zaległości, i to z nawiązką. 

O autorze:**RAFAŁ SKÓRSKI**

Dziennikarz prasowy i telewizyjny. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Pracował między innymi w dziennikach: „Polska The Times”, „Super Express” i „Dziennik Gazeta Prawna” oraz stacjach TVN i TVP. Twórca kilkunastu koncepcji prasowych. Laureat konkursów dziennikarskich. W przeszłości redaktor naczelny czasopism biznesowych i branżowych. Obecnie wydawca magazynu „Gourmet” oraz portalu Restauracje.TV i AutoPRL.pl.

O bohaterze:**IWAN ILICZEW-
-WOŁKANOWSKI**

Rosyjski biograf Anny German. Autor kilku książek o jej losach. Na jego unikalne archiwum składają się: nagrania piosenek, filmy, około 2000 zdjęć, setki publikacji prasowych, dokumenty oraz przedmioty osobiste piosenkarki. W kolekcji znajdują się też nieznanne nagrania powstałe w domu artystki. Szczególną wartość w kolekcji mają osobiste listy Anny German w języku rosyjskim, a także korespondencja jej matki.





PAWIĘĆ.JPG

KATARZYNA WOJTASIK

Tablica na płócie głosi: „Koniec robót – 31.07.2010 r.” Z drugiego piętra dobrze widać solidny płot, a za nim pracującą koparkę. Patrycja Jastrzębska zna ten widok doskonale, mieszka na Woli od piętnastu lat. Robi zdjęcie. „Wtedy chyba nawet nie wiedziałam, że to projekt Mieczysława Pipreka” – wyjaśnia. Zielony budynek kina W-Z od kilku dni stopniowo zamienia się w gruz.

Kilka miesięcy wcześniej razem z mężem i grupą znajomych zakłada Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Mazowieckiej „Masław”. W planach mają bezpłatne wycieczki po Warszawie i wykłady dla mieszkańców. Zburzenie kina W-Z daje początek projektowi „Tu było, tu stało”, który do dziś dokumentuje historię zmian warszawskiej przestrzeni. Wydają trzy mapy pokazujące budynki wyburzone lub poddane znacznym przekształceniom. Pawilon Chemia, Sezam, Centralny Dworzec Pocztowy, kino Praha, wiele innych. Na mapy trafiło w sumie ponad osiemdziesiąt adresów, ale w Warszawie jest ich znacznie więcej.

– W pracach nad mapami korzystaliśmy ze zdjęć fotoreporterów. Niektórych obiektów brakowało w archiwach. Widziałam też, ile zdjęć z przeszłości ludzie wrzucają na Facebooka. Pojawił się pomysł, żeby o przemianach Warszawy opowiadać z innej perspektywy, oczami mieszkańców – mówi Patrycja. Społeczne Archiwum Warszawy zaczęło kolekcjonowanie zdjęć w 2016 roku. – Nie mieliśmy sprzętu, skaner udało się pozyskać dopiero później, z kolejnego grantu. Nie wiedzieliśmy, na co się piszemy, żadne z nas nie było archiwistą. Zdjęcia, które dostaliśmy i dostajemy, są fascynujące. Widać różne niedociągnięcia, kadry nie są profesjonalne, ale pokazują miejsca, których nie spotyka się w fotografii reporterskiej, bo nie są reprezentacyjne – osiedla, podwórka, domy. To zupełnie inna opowieść o Warszawie! – dodaje.

– Trochę nas to na początku przerosło. Pozyskaliśmy całkiem sporo zdjęć w krótkim czasie. Edycja, identyfikacja, porządkowanie w systemie, nadawanie sygnatur – wypracowywaliśmy wszystko krok po kroku – tłumaczy Agnieszka Zalotyńska. – Podział zadań był naturalny. Patrycja wymyśla, zarządza i nadzoruje, Krzysztof opisuje zdjęcia, a ja gdzieś pomiędzy: porządkuję zbiory, organizuję, zajmuję się stroną wizualną. – Agnieszka skończyła sztukę mediów na warszawskiej ASP i wiedzę o kulturze na UJ, pochodzi z południa Polski. Mówi o sobie „artystka-archiwistka”.

– Za dzieciaka siedziałem z dziadkiem w domu, opowiadał mi o Warszawie. Urodził się przed pierwszą wojną, moja rodzina mieszka tu od początku dwudziestego wieku – opowiada Krzysztof Olszak. – Ojciec zabierał mnie i brata na długie spacerunki, później sami krążyliśmy po mieście. Po skończeniu szkoły znałem całą topografię Warszawy. Do końca istnienia tygodnika „Stolica” byłem jego wiernym czytelnikiem, tak samo

jak *Warszawskich pożegnań* w „Życiu Warszawy” i książek Jerzego Kasprzyckiego. Plus to, co zobaczyłem na własne oczy. Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte są łatwe do rozpoznania, bo je po prostu pamiętam – kontynuuję. – Dużo trudniej jest ze zdjęciami z okresu międzywojennego. Pozostaje literatura i szukanie zdjęć porównawczych. Od kilkunastu lat jest trochę łatwiej, na przykład zdjęcia wojenne często wypływają na portalach aukcyjnych. Potomkowie Niemców, którzy zdobywali Polskę w Wehrmachcie, sprzedają pamiątki rodzinne. Można skompletować obrazy Warszawy z okresu okupacji. Dużo zdjęć pojawia się też na Facebooku, czasem pomaga to przy identyfikacji. Kilka dni temu ktoś wrzucił zdjęcie z ronda Babka i dzięki temu rozpracowałem inne, nad którym mordowałem się ponad dwa lata. Niektóre zdjęcia konsultuję z rodzonym bratem, dużo przecież chodziliśmy razem – wyjaśnia Krzysztof. – W latach dziewięćdziesiątych mieliśmy aparat kompaktowy. Zaczęło znikać kino Moskwa, pierwsza taka sytuacja. Rozbiórki budynków przedwojennych nie były nowością, widziałem to w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych przy budowie metra, ale rozbiórka budynku powojennego to była niespodzianka nie z tej ziemi! Zrozumiałem, że warto mieć pewne rzeczy na zdjęciach, bo zniknąć może wszystko. Jest kilka budynków, które udało mi się sfotografować, a dziś ich nie ma – południowa pierzeja Pańskiej, oficyny na Żurawiej.

Małżeństwo z dzieckiem pozuje na środku drogi. Nawierzchnia jest jeszcze nie używana, pierwsze samochody pojedą tędy za kilka dni. Warszawiaci korzystają z lipcowej pogody i tłumnie spacerują, nieświadomie wkładając się w cudze kadry. Podczas tego spaceru rodzina Ewy Tryuk-Blanc robi sześć zdjęć. Nowa Trasa Łazienkowska musi robić na nich wrażenie. Jest 1974 rok.

– To moje ulubione zdjęcie w Społecznym Archiwum Warszawy, a w zasadzie jego „ramka”. Jest slajdem, bo tak się wtedy robiło – mówi Agnieszka, prezentując fotografię. – Widać materię. Zazwyczaj usuwamy takie elementy, ale zależało mi, żeby „ramka” została, to znak czasów. Lubię kontakt ze zdjęciami, notatkami, zapisem ręcznym, ale najbardziej lubię, gdy jest zeskanowane i widzę je w prostokącie pulpitu. Kiedy to, co analogowe, trafia do komputera. Ciekawe są dla mnie zestawy zdjęć, na których widać te same miejsca w zbiorach różnych osób, a to okazuje się dopiero cyfrowo, już w SAW-ie [Społecznym Archiwum Warszawy – przyp. red.]. Uwielbiam też same zdjęcia, ich porządkowanie, skanowanie, oglądanie. Widać wtedy tkanę – krzywo przyklejoną fotografię, taśmę w albumie. To zanika w archiwum cyfrowym. Jako pasjonatka świata analogowo-cyfrowego jestem usatysfakcjonowana, ale mam poczucie braku. Ekran tego nie oddaje.



Miejsce na warszawskiej Woli, w którym do 2010 roku stał budynek kina W-Z



– Mamy przyjętą konwencję obróbki zdjęć, ale długo zastanawialiśmy się, jak edytować fotografie, żeby nie wchodzić za bardzo w rolę autora – wyjaśnia dalej Agnieszka. – Usuвам mechaniczne zabrudzenia. Czasem poprawiam kontrast, neutralizuję ślady przedarcia, niekiedy lekko kadruję. Zdarza mi się zostawiać niedoskonałości, delikatne ramki, przeświecenia. Są archiwa, które publikują surowe skany, my przyjęliśmy, że ze zdjęć SAW można od razu korzystać bez poprawiania.

– To zdjęcie od razu mnie zahipnotyzowało. – Patrycja wskazuje fotografię z 1944 roku. – Dwie młode kobiety, bardzo eleganckie. Na twarzach widać autentyczne zadowolenie, może nawet kokieteryę. Zrobione włosy, kapelusze, zalotne uśmiechy. I ten czterdziesty czwarty rok... Okupacja, za kilka miesięcy wybuchnie powstanie. Ulica Chłodna, po której idą, zostanie zrujnowana. Ludzie w takim trudnym momencie i trudnej rzeczywistości – żyją! Roland Barthes pisał, że niektóre zdjęcia mają *punctum*. Mimowolnie wchodzisz w jakąś historię, coś ci robią, i tak jest z tą fotografią.

Wśród swoich ulubionych zdjęć Patrycja wymienia również portret bliźniaków, których mama zdecydowała się na jesienny spacer dokładnie w chwili, gdy na dzisiejszym placu Bankowym trwało wyburzenie pomnika Dzierżyńskiego. Śpiące w wózku bliźnięta to być może ostatni warszawiacy, którzy pozowali z sylwetką „Krwawego Feliksa”. Społeczne Archiwum Warszawy pokazuje też koniec kina Moskwa. – Kultowy budynek, za sprawą słynnego zdjęcia Chrisa Niedenthala narosło wokół niego wiele narracji. Mamy zdjęcie z lutego 1996, zrobione przez Krzyśka i jego brata. Na budynku wisi baner „Nagła śmierć”, jakby złowieszczo prorokujący. W maju zaczęto wyburzanie. Unicestwienie bryły kina fotografowała Małgorzata Kuciewicz, dziś architektka, wtedy jeszcze studentka architektury. Widać na nich, że zniszczeniu uległy także płaskorzeźby i metaloplastyka – opowiada Patrycja. Seria zdjęć z rozbiórki trafiła do SAW.

– Niektóre wyburzenia są naprawdę irytujące – mówi Krzysztof. – Odbudowa Smyka to zbrodnia na zabytku. Straciliśmy wartościowy obiekt, bo to, co powstało, ze Smykiem nie ma nic wspólnego. Nie każdy budynek ma taką wartość, żeby go zachowywać, ale są takie, których naprawdę szkoda – stwierdza. – Sam fotografuję to, co może zniknąć. Mam mnóstwo zdjęć zrobionych od siebie z okna. Pierwsze z 1989 roku, ostatnie może być zrobione dziś lub jutro. Widok zmienia się bardzo, kiedyś były tylko dwa wieżowce – Marriott i Intraco II, dziś się zagaściło. Marriott zrobił się mniejszy, bo za nim wyrasta Varso i zupełnie zmienia panoramę. Są miejsca, które mogłem sfotografować. Nie zrobiłem tego, bo wydawało mi się, że przecież zdążę. Zniknęły. Nie da się już tego odtworzyć. Dla ludzi, którzy do Warszawy przybyli niedawno, zdjęcia z początku lat dziewięćdziesiątych

są abstrakcyjne. Zresztą za kilka lat zdjęcie z hotelem „Mercure” to też będzie abstrakcja, bo nie będą wiedzieli, że taki budynek tam stał.

Głowa ucięta, na szczęście. Niemowlę w wózku straciło trochę wzrostu, ale dzięki temu widać podwórko, budynek szpitala i przychodni przy ulicy Leszno. Nieprecyzyjny kadr zadziałał na korzyść archiwum. Agnieszka prezentuje kolejną fotografię z listy ulubionych zgromadzonych w SAW. – To amatorskie zdjęcie, z którego nic nie wyszło, ale dzięki temu wszystko działa. Dobry przykład, że profesjonalizm nie jest ważny. To przesunięcie robi robotę, postać nie jest najlepiej skadrowana, ale widać budynek. Za to też lubię SAW, można znaleźć w zbiorach przypadkowe ujęcia albo dziwne, nieświadomie stworzone kompozycje.

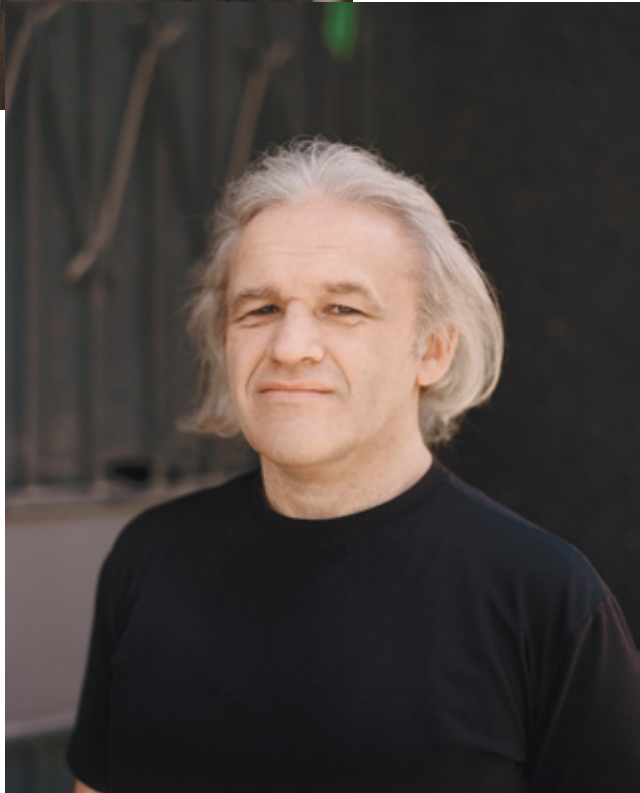
– Czasem ludzie pokazują nam swoje zbiory niepewnie, wybierają ważne zdjęcia, żeby było widać w tle przemianę i architekturę – dodaje Agnieszka. – A kiedy się orientują, że nam podobają się też inne, dorzucają kolejne. Są tacy, z którymi mamy kilka umów licencyjnych – to znaczy, że co roku znajdowali kolejne zdjęcia do przekazania. To głównie seniorzy. Wzrusza mnie, kiedy ktoś pisze, że cieszy się, że mógł coś przekazać, bo nikogo poza nami to nie interesuje i dzięki nam to nie przepadło. Zdarza się, że ktoś chce nam przekazać pamiątki, szuka całościowego rozwiązania. Nie jesteśmy instytucją, więc nie możemy ich przyjmować.

– Zaczynaliśmy od długich zespołowych dyżurów ze skanerem w bibliotece na Koszykowej. Czasem ktoś przyniósł zdjęcia, ale bywały przestoje. Zrezygnowaliśmy z takiego trybu. Kilka razy w roku pojawiajemy się na wydarzeniach miejskich, trochę skanujemy na miejscu, ale częściej nawiązujemy kontakty. Umawiamy się potem na spotkania, często w domach darczyńców. Cenię możliwość spotkania z tymi ludźmi, chociaż czasem nie wiem, o co pytać – śmieje się Agnieszka. – Dlatego chodzę tam z Krzyśkiem. To ludzie wysokiej kultury, przekłada się to na jakość spotkań z nimi. Jeśli ktoś ma archiwa rodzinne i dba o nie, a przekazywanie ich nam jest formą dbania, to ma też świadomość, jak bardzo to ważne. Podkreślają to często, dziękują. Odwdzięczamy się identyfikacją niepewnych lokalizacji, skanami zdjęć. Niektórzy traktują poświęcony im czas jako formę podziękowania za przekazanie fotografii. Nazywanie ich „darczyńcami” to jakaś forma wyróżnienia. W zeszłym roku wydaliśmy album ze zdjęciami SAW, to też forma podziękowania dla nich. Trafiły tam fotografie pochodzące od każdego z darczyńców. Część z nich pojawiła się na premierze, każdy dostał swój egzemplarz. Dla niektórych to było wzruszające, że te zdjęcia trafiają na papier – wspomina Agnieszka.

– Zdarzają się nieźli gawędziarze – podejmuje Krzysztof. – Oprócz historii o Warszawie można posłuchać wielu innych opowieści. Już przy pozyskiwaniu staramy się dowiedzieć jak najwięcej, to bardzo pomaga przy



Patrycja Jastrzębska



Krzysztof Olszak



Agnieszka Zalotyńska



Michał Trawiński

późniejszym rozpoznawaniu. Kiedy wiemy, gdzie na przykład mieszkała rodzina tej osoby, łatwiej szukać miejsca wykonania zdjęcia. Kilka osób, od których dostaliśmy zbiory, odeszło z tego świata. Bezpośrednich świadków może za chwilę nie być. Jest szansa, że może ich potomkowie będą grzebać w tym, co zostało, i przy okazji coś udostępnią. Oni z kolei nie będą wiedzieli kto, gdzie i dlaczego coś sfotografował.

– Część zdjęć, które dostaliśmy, jest robiona przez ulicznych fotografów, tak zwanych leikarzy [od nazwy używanego przez nich aparatu marki Leica – przyp. aut.], są różnej jakości. To jest świetne. – Krzysiek pokazuje ulubione zdjęcie z SAW-u. – Nie było robione żadną leicą. Prawdopodobnie to wielkoformatowe zdjęcie, być może na szklanym negatywie. Widać blok spółdzielni Feniks i stojące tramwaje linii 14 i 17. Od razu można ustalić, kiedy zostało zrobione. Dla tych linii plac Wilsona był pętlą w latach 1931–1934. Numer taborowy od razu wyczytałem! Szkoda, że mundurowy wszedł w miejsce, w którym mógłbym zobaczyć drugi wagon – dodaje. Krzysztof jest pasjonatem warszawskiego transportu, zwłaszcza historii kolei. Do tego zapalonym rowerzystą. Skończył SGGW, choć wolałby architekturę. Pokazuje zdjęcie z lat czterdziestych, znad Wisły. Na pierwszym planie dwie elegantki, pozujące jak w modowym czasopiśmie. – Za nimi stoi legenda Żeglugi Warszawskiej, statek „Bajka”. Podobno miał być zatopiony w Powstaniu. Nie wszystko się sprawdza, ale statek ma swoją historię. Trafienie na zdjęcie z nim to jest naprawdę rarytas! – Krzysztof ogląda wszystko po kolei. Budynki, ich układ, szczegóły. – To, jak stoją latarnie, może być istotne. One nie wędrują po ulicach. Jeśli na zdjęciu są po prawej stronie, to będą tam do dziś. Czas wykonania zdjęcia można określić, patrząc na ubrania, na to, co jedzie po ulicy, jaką ma tablicę rejestracyjną. Gość w spodniach dzwonach to późne lata sześćdziesiąte albo początek siedemdziesiątych, pani w kapeluszu z utapirowanymi włosami to lata trzydzieste – wyjaśnia. Na zdjęciu jest tłoczno. Ktoś przyjechał samochodem, ktoś pcha taczkę pełną liści, widać też zaparkowane konie z powozami. Można przypuszczać, że to targowisko. – Długo zastanawiałem się, gdzie to jest. Pani, która przekazywała zdjęcie, twierdziła, że to Ochota, ale nie pasowało mi to do bazaru na Banacha. Na grupie facebookowej ktoś wrzucił zdjęcie z ulicy Boryszewskiej i nagle się okazało, że to jest właśnie to! Mokotów! Oglądałem te okolice, ale na zdjęciach robionych sto metrów od miejsca-zagadki. Nie wpadłbym na to, gdyby nie zdjęcie umieszczone w sieci – emocjonuje się.

Są też zdjęcia, które nigdy nie trafią do szerszego grona odbiorców. Chyba że znów ktoś w Internecie podrzuci trop. Chłopak w kaftanie, drugi z ręką w dziwnej pozycji, dookoła sporo ludzi, z tyłu tramwaj. Wygląda jak zdjęcie robione z ukrycia. Dwóch panów chyba widzi, że właśnie są fotografowani.

– Dziwna sytuacja. Nie wiemy, gdzie i kiedy jest zrobione. Na razie nie możemy włączyć go do archiwum – mówi Agnieszka.

– Mamy kilkadziesiąt niezidentyfikowanych zdjęć – uzupełnia Krzysztof. Brak mi materiału porównawczego. Oglądam je wielokrotnie, ale nie bardzo mam do czego je odnieść. Czekaają, aż trafi się nowe zdjęcie, które cokolwiek podpowie.

W Społecznym Archiwum Warszawy zgromadzono łącznie do tej pory około dwóch tysięcy zdjęć i nagranych wspomnień. Najstarsze pochodzą z lat trzydziestych XX wieku, najmłodsze z pierwszej dekady XXI wieku. Jest też kilka rarytasów: unikatowe zdjęcia z ul. Śniegockiej na Powiślu sprzed powstania warszawskiego, ulica Żelazna w kształcie sprzed 1944 roku. Do tego widok z Pałacu Kultury na plac Grzybowski, zanim Pałac Lubomirskich został obrócony.

– Są zbiory Narodowego Archiwum Cyfrowego, świetne technicznie, ale oni nie byli w stanie wszystkiego sfotografować. Społeczne Archiwum Warszawy fantastycznie uzupełnia te braki. Oby działało jak najdłużej! Chciałbym, żeby udało się zbierać jak najwięcej zdjęć, załatać luki w dokumentacji – przyznaje Krzysztof.

– To po prostu jest potrzebne – zaznacza Agnieszka. – Coraz trudniejsze jest coroczne udowadnianie we wnioskach, że tak jest. To już wiadomo, czemu musimy to powtarzać? To, że SAW jest ważny, się nie zmieniło. Wspaniale byłoby mieć stałe finansowanie. Dodatkowe aktywności, jak wydawnictwa czy program towarzyszący, to osobna kwestia, ale stałe finansowanie bieżącej pracy archiwum to mój postulat, choć nie wiem do kogo – śmieje się. – Będziemy prowadzić SAW mimo wszystko, ale bez pieniędzy nie jesteśmy w stanie zaangażować się tak bardzo.

– Dobrze byłoby być niezależnym od cyklicznych finansowań – dodaje Patrycja. – Chcę to robić. Widzę, że ludzi to interesuje. Społeczne Archiwum Warszawy nie jest tylko na ten moment, przysłuży się kiedyś potomnym. Dzięki SAW-owi mam większą świadomość warstwowości tego miasta. Ktoś był przed nami, ktoś będzie po nas. Ludzie budują swoją rzeczywistość, która potem mija. Na nas w przyszłości też ktoś będzie patrzył w ten sposób.

– Widzę na co dzień ludzi i miejsca i myślę, że to materiał na archiwum za jakiś czas. – Agnieszka dzięki SAW-owi inaczej patrzy na miasto. – Kiedyś tak nie było. Jesteśmy materiałem dla jakiegoś archiwum w przyszłości! W zeszłym roku robiłam projekt artystyczny ze zdjęciami rodzinnymi, przeglądałam albumy z Małopolski i Trójmiasta. To mnóstwo materiału do innych archiwów, fajnie byłoby kiedyś zrobić coś takiego. Każde miejsce zasługuje na takie archiwum.

Dziesięć lat po wyburzeniu kina W-Z z mieszkania rodziny Jastrzębskich

widać bujną roślinność, która z reguły służy za toaletę dla okolicznych czworonogów. Patrycja z jednej strony doświadcza braku kina, z drugiej – czuje jego obecność na co dzień. Na ścianie wolskiego mieszkania wisi bowiem obraz Marii Kiesner z modernistyczną bryłą Pipreka. Powstał na podstawie fotografii zrobionej z okna na chwilę przed wyburzeniem Kina.

O autorce:
KATARZYNA WOJTASIK

Z wykształcenia socjolożka. Dziennikarka radiowa, copywriterka, entuzjastka słowa. Najchętniej mówi i pisze o muzyce, architekturze i mieście. Mieszka w Warszawie.

O bohaterach i bohaterkach:
**SPOŁECZNE ARCHIWUM
WARSZAWY**

Gromadzi fotografie i wspomnienia udostępnione przez osoby prywatne. Najstarsze zdjęcia pochodzą sprzed II wojny światowej, najnowsze – z początków XXI wieku. Archiwum zachowuje od zapomnienia obiekty i przestrzenie miejskie. Upowszechnia mniej oczywiste dziedzictwo kulturowe, historyczne i architektoniczne Warszawy. Odkrywa i popularyzuje lokalne historie. Buduje świadomość wartości prywatnych zbiorów i ich roli w odczytywaniu historii miasta oraz angażuje warszawiaków w jej dokumentowanie. Strona internetowa archiwum: saw.tubylotusta10.pl.



Obraz autorstwa Marii Kiesner przedstawiający kino W-Z, namalowany w 2011 roku na podstawie fotografii Patrycji Jastrzębskiej (na zdjęciu)



ENTUZJAŚCI

METAFIZYKA? A MÓŻE SZALEŃSTWO?

MILENA ZATYLNA

Pewnego dnia obudziła się jakaś inna. Wstając z łóżka, jeszcze o tym nie wiedziała. Ranek był taki jak wiele innych. Krzątała się po domu, wypila kawę. Dopiero na ulicy ją dopadło. Wrażenie było tak mocne, że nie mogła złapać tchu. Byczyna, w której się urodziła, w której spędziła całe życie, wydała jej się odmieniona – bliska i obca jednocześnie. To, co do tej pory mijała prawie nieświadomie, w jednej chwili ją zachwyciło.

Nagle budynki, ulica, ratusz, wieża, kilkusetletnia lipa, nawet ślady po kulach z kałasznikowa w murze kościoła, to wszystko objawiło jej, że ma do czynienia z dziełem sztuki. W dodatku bezcennym.

– Nie wiem, dlaczego wcześniej tego nie widziałam? – zastanawia się emerytowana nauczycielka Zdzisława Drozd, malarka, która przez wiele lat uczyła plastyki w byczyńskiej podstawówce. – Usprawiedliwia mnie to, że miałam na głowie pracę, rodzinę, dzieci, czyli troskę o chleb powszedni. Nie było ani czasu, ani siły na „fanaberie”. – Wraz z olśnieniem pojawiły się pytania o historię Byczyny, zabytki, fundatorów, ludzi, którzy tu żyli, pracowali, tworzyli wspólną przestrzeń, umierali. – Okazało się, że oprócz powszechnie znanych faktów wiem niewiele – opowiada. – Postanowiłam to zmienić i zabrałam się do roboty. Aby miała ona ramy formalne i prawne, ze znajomymi założyliśmy Stowarzyszenie Ochrony Dziedzictwa Kulturowego Byczyny.

Tak pani Zdzisława została archiwistką społeczną. Dokumentuje byczyńską historię, poszukując informacji wszędzie, gdzie się da, a jako wolontariuszka opiekuje się izbą tradycji w ratuszu.

W słowniku pod hasłem „archiwista” znajdziemy same oczywistości. Przeczytamy, że to osoba, która pracuje w archiwum, znawca zbiorów, zajmujący się porządkowaniem i ewidencjonowaniem akt, ich przechowywaniem, nadawaniem sygnatur, opracowywaniem, tworzeniem baz danych, udostępnianiem, prowadzeniem kwerend bibliotecznych... Nie brzmi zachęcająco, prawda? Moim zdaniem wręcz wieje nudą. Definicja na pewno nie przekazuje wyczerpująco tego, czym archiwista zajmuje się na co dzień. Słuchając opowiadania Zdzisławy Drozd, można odkryć dużo więcej znaczeń, które uzupełnią ubogie słownikowe objaśnienie.

A jak apologeta, a nawet apostoł

– Swoimi działaniami staram się przekonać ludzi, że nasze miasteczko to skarb – mówi pani Zdzisława. – Poza garstką pasjonatów, takich jak ja, idzie opornie. – Trudno się dziwić. Byczyna jest jedną z najbardziej zadłużonych gmin w Polsce. Dwa lata temu zajmowała nawet niechlubne trzecie

miejsce na liście samorządów zagrożonych bankructwem. Atmosfera jest tu senna, beznadzieja i stagnacja zdają się wyzierać z każdego zaułka.

Nie zawsze tak było. W okresie, gdy Polska wchodziła do Unii Europejskiej, Byczyna tętniła energią i pomysłami. Była regionalnym liderem w pozyskiwaniu pieniędzy i w realizacji projektów. Ludzie wierzyli, że po trudnym czasie transformacji nadchodzą wreszcie dla nich tłuste lata. Pomysł był taki, aby wykorzystując największe atuty miasteczka, czyli historię i zabytki, przyciągnąć turystów. Byczyna zapisała się bowiem w dziejach jako miejsce słynnej bitwy, do której doszło 24 stycznia 1588 roku. Wówczas armia Rzeczypospolitej, dowodzona przez hetmana Jana Zamoyskiego, pokonała wojska pretendenta do korony polskiej, arcyksięcia austriackiego Maksymiliana Habsburga. Zwycięstwo pod Byczyną otworzyło Zygmunтови III Wazie drogę do polskiego tronu i określiło na następne kilkaset lat losy Rzeczypospolitej. Niektórzy historycy twierdzą, że bitwa ta była dla Polski i Europy nawet ważniejsza od zwycięstwa Sobieskiego pod Wiedniem.

Z myślą o turystach powstały: gród rycerski, trzygwiazdkowy hotel w centrum miasta, prywatne minimuzeum, pensjonaciki, spółdzielnie socjalne. Bezrobotni uczestniczyli w kursach rzemiosł dawnych, uczyli się kowalstwa, garncarstwa lub płatnerstwa, aby na podgrodzium oferować odwiedzającym swe produkty lub usługi. Niestety, nadzieje na rozwój turystyki się nie ziściły. Rzeczywistość okazała się mniej obiecująca od biznesplanów. Mieszkańcy stracili werwę, młodzi wyjechali.

– Ale ja nadal w Byczynie wierzę i tą wiarą staram się zarażać innych – mówi pani Zdzisława. – Nie mogę patrzeć na trwającą beznadzieję, na marnotrawienie potencjału tego miasta i dorobku ludzi, którzy na różnym etapie poświęcili mu swoje siły, pieniądze, czas, a nawet życie. Głoszę dobrą nowinę, że musimy przetrwać trudny okres i działać. Jestem pewna, że Byczyna będzie miała jeszcze swoje pięć minut. Mam nadzieję, że wskrzeszę w ludziach entuzjazm.

R jak ratownik

Archiwista ratuje ślady, okruchy, wspomnienia. Pracuje w sferze rzeczy namacalnych i spraw ulotnych. Jedne i drugie są nietrwałe. – Wydobywam je ze śmietników, składzików, pawlaczy. A czasem z zakamarków dusz i umysłów, schowane głęboko ze strachu, bólu, obojętności. Niektórzy bronią się przed wspomnieniami, inni dzielą nimi z radością, szczęśliwi, że oni i ich bliscy zostaną chociaż na zapisanych kartkach. Tak jak pani Halina Kuźnar, której mąż, Józef, prowadził kronikę Byczyny.

– Józek pisał kronikę ręcznie i ozdabiał ją malunkami. Wspaniałymi zresztą, bo był bardzo uzdolniony plastycznie. Notatki prowadził wiele lat.



↑
Portret w izbie
tradycji
w Byczynie



Zdzisława Drozd pokazująca
popielnice w izbie tradycji

Księga należąca do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego



Fragment wystawy w izbie tradycji

Kiedy podupał na zdrowiu, wcale z kronikarskiej pasji nie zrezygnował. Rysował w kronice ramki, szkice esów-floresów, tyle, na ile pozwalały mu siły, i kazał żonie kolorować, a ona to robiła. To było wariactwo. Halinka opowiadała i płakała, z czułości, miłości, tęsknoty za mężem. A ja z nią. – Józef Kuźnar przez kilkadziesiąt lat prowadził też rejestr artykułów o Byczynie, które ukazywały się w prasie lokalnej, regionalnej i ogólnopolskiej. Wycinał je, katalogował, nawet przepisywał na maszynie. – Kiedy rodzina poszła już spać, on godzinami stukał w klawisze, a rano szedł do pracy. I jak tu pozwolić zapomnieć o kimś takim?

C jak cudotwórca

Pani Zdzisława jest konsekwentna i uparta. Jeśli wyrzucą ją drzwiami, to wróci oknem. Wyrażenia „nie da się” lub „nie ma pieniędzy”, często wygłaszane w polskich urzędach jako zakłęcia mające odstraszać petentów, nie są w stanie jej zatrzymać.

– Szukam takich możliwości, żeby się dało – tłumaczy. – I jakimś cudem zawsze dopnę swego. – Tak było na przykład z portretem byczyńskiej mieszczyki, który po wojnie stał się własnością gminy. Obraz pochodzi najprawdopodobniej z początków XIX wieku i jest zachwycający. Co z tego, skoro mocno zniszczony: dziury w płótnie, wgniecenia, sypiąca się farba? – Uparłam się, że trzeba jak najszybciej poddać go renowacji. Usłyszałam, że teraz gminy na to nie stać. Postanowiłam więc sama pochodzić po przedsiębiorcach i prosić o wpłaty, bo nim gminę będzie stać, to mieszczkę zjedzą robaki. Nie przewidziałam reakcji, bo biznesmeni potraktowali mnie jak żebraczkę. Może gdybym prosiła na chleb, to szybciej by się ulitowali. Krzyczeli, że przecież płacą podatki, a tu urząd nic nie robi i jeszcze na jakiś „obrazek” mają dawać.

Cel, mimo wszystko, został osiągnięty. Niedawno portret wrócił po renowacji na swoje miejsce w izbie tradycji. – Teraz czekam na kolejny cud – chcę się dowiedzieć, kim jest mieszczyka i czyją własnością był obraz przed wojną. Pisałam już w tej sprawie do gazety, którą w Niemczech wydaje stowarzyszenie byłych mieszkańców powiatu kluczborskiego.

H jak historyk

Zdzisława Drozd kocha historię. Bez tej miłości trudno być archiwistą. To ją właśnie, a nie matematykę, uważa za królową nauk.

– Dla nas, byczyńian, historia jest ostatnią deską ratunku. Gdybyśmy jej nie mieli, to nie byłoby tu już nic, tylko zburzyć i zorać. Dlatego musimy o nią dbać.

Historia to przede wszystkim ludzie. Do nich Byczyna miała szczęście.

– W czasie wojny miasto było aż w osiemdziesięciu procentach zniszczone. To głównie mieszkańcy własnymi rękami je odbudowali. Trwało to długo, bo na przykład ratusz został oddany do użytku dopiero w 1962 roku, a za-
bytkowa kaplica w 1977. Ale ktoś się postarał, komuś zależało. Dziś często
ludzie ci są anonimowi, wielu nazwisk już nie odtworzymy. Bardzo nad
tym ubolewam, że zaprzepaściliśmy moment, kiedy można było jeszcze
ich wszystkich upamiętnić. Największe pretensje nam do siebie, że za
późno się tym zajęłam. – Ale udało się ustalić personalia rzemieślników,
którzy wyremontowali kaplicę. Wykonali tytaniczną pracę, bo budynek
był ruiną. Pracowali wieczorami i nocami, czyli w swoim czasie wolnym.

I jak inwentaryzator

– Moja praca to głównie robienie remanentu, inwentaryzacja i magazyno-
wanie zasobów materialnych, czyli pamiątek, dokumentów, historycznych
artefaktów – mówi pani Zdzisława. – Niestety, jest manko, i to nie do
odrobienia.

Izba tradycji, którą opiekuje się Zdzisława Drozd, jest czwartą w powojen-
nych dziejach miasta. Po poprzednich zachowało się niewiele, zaledwie
okrucy. Jakieś obrazy, husarska zbroja, zardzewiały hełm, mundury nie
wiadomo czyje i skąd. Zdjęcia przedstawiające nieznanne twarze. Doku-
menty, jak efemeryczne punkty na linii czasu, bez szerszego kontekstu
i powiązań. Przypadki, impresje, w których próżno szukać ciągłości
i sensu.

– Zabezpieczam to, co jeszcze nie przepadło – relacjonuje. – Tworzę karty
ewidencyjne, bo wcześniej ich nie było, albo były takie jak w sklepie, bez
opisu, informacji o autorze, pochodzeniu, bez zdjęcia i podania szacunko-
wej wartości. Nigdy tego nie robiłam, nie wiedziałam za bardzo, od czego
zacząć. Ale uprosiłam kustoszki z kluczborskiego muzeum, żeby mnie
nauczyły. I teraz jak ten świstak siedzę i zapisuję. Widzę, jak archiwum
pęcznieje, i mam satysfakcję, że warto było. Ludzie piszą prace magister-
skie, książki, artykuły, więc na pewno ta wiedza się przydaje.

W jak wyczynowiec

– Czuję się tak, jakbym brała udział w wyścigu – opowiada pani Zdzisława. – Walka jest nierówna. Ścigam się z nietrwałą pamięcią, uciekającym
czasem i śmiercią, której niestety nie można prosić o prolongatę terminu. –
Świadkowie zdarzeń umierają zawsze za wcześnie. Pozostaje ból, żal
i dziury we wspólnej pamięci, których zacerować się już nie da. – Nieraz
jestem tak zrezygnowana i sfrustrowana, że chcę wszystko to rzucić. Ale
budzę się rano i stwierdzam, że znów spróbuję, stanę do wyścigu, może
tym razem to ja będę pierwsza.

I jak inspektor

Zdzisława Drozd ma ograniczone zaufanie do ludzi. Wszystko musi sama sprawdzić, wszystkiego dopilnować. A już najbardziej nie ufa urzędnikom.

– Czasami takie babole im się trafiają, że aż zgroza bierze. W lutym tego roku wiatr zrzucił z ratuszowej wieży kapsułę czasu. Pracownicy urzędu chcieli ją rozbić młotkiem, żeby zajrzeć do środka! Nie pozwoliłam, kazałam czekać na konserwatora zabytków. I dobrze zrobiłam, bo wewnątrz znajdowały się prawdziwe perełki, które być może zostałyby zniszczone. – Kapsułę zawieszono na wieży po powojennym remoncie ratusza, a to, co zostało w niej umieszczone dla potomności, doskonale oddaje specyfikę tamtych czasów. I chyba nawet sam Bareja lepiej nie dobrałby rekwizytów dla zilustrowania peerelu. Funkcję tuby pełniła... zalutowana rynna. W niej była flaszka, ćwiarteczka, po jarzębiaku, 40 procent, z Wytwórni Wódek Gatunkowych w Zielonej Górze. Na etykiecie przybito cenę 24 złote. W butelce zaś znajdowała się kartka owinięta w szary papier i związana sznurkiem do snopowiązałek. – Kwintesencja siermiężności tamtego okresu, tak brzydkie, że aż piękne. Nie wiem tylko, czy było to poczucie humoru, czy gest rozpaczy.

Na kartce znajdowała się odezwa władz miasta z 20 marca 1962 roku:

„Do wiadomości tych, którzy przyjdą setki lat po nas. Ratusz zabytkowy w Byczynie został zniszczony w 80 procentach przez działania wojenne w 1945 roku. Staraniem ojców miasta odbudowa ratusza rozpoczęła się w miesiącu kwietniu 1957 roku. [...] Koszt odbudowy wyniósł około 6 mln zł polskich. Piękno architektoniczne zabytkowego ratusza, które się odtwarza w jego pierwotnej postaci, ma i będzie przypominać po wsze czasy, że te ziemie były i będą polskie”. Ekspozyty zostały sfotografowane, a ich zdjęcia pani Zdzisława chce zaprezentować na wystawie. Iglica wieży nie pozostanie pusta, trafi na nią nowa kapsuła. Zdzisława Drozd zamierza tę sprawę pilotować aż do finału.

– Niedawno kątem oka widziałam projekt kapsuły i mignął mi orzeł jak z gmachu Bundestagu! Natychmiast pobiegłam do projektanta, by mi wytłumaczył, o co chodzi. Wprawdzie Byczyna przez setki lat była niemiecka, ale nie wyobrażałam sobie niemieckiego orła „fruwającego” nad naszym miastem. Autor koncepcji uspokoił, że orzeł jest piastowski, z czasów Henryka Brodatego, bo wtedy właśnie Byczyna była lokowana. Taki projekt to ja mogę zatwierdzić! – śmieje się Zdzisława Drozd.

S jak sprzątaczką

Pierwsze miesiące wolontariackiej pracy opiekunka byczyńskiej izby tradycji spędziła na sprzątananiu.



– Ekspozyty porozrzucane były po całym urzędzie, a także poza nim, w bibliotece, ośrodku kultury i innych budynkach gminnych. Zaglądałam do zapomnianych pudeł i skrzyń, przeglądałam szafy, które nie były otwierane od lat, eksplorowałam tajemne schowki i gabloty. Wytarłam tony kurzu i wygoniłam dziesiątki pajaków. Podźwigałam się, nabawiłam ataku rwy kulszowej, przebiegłam setki kilometrów. Pierwszy poziom wieży znajduje się na trzeciej kondygnacji ratusza, a ja w ciągu jednego dnia krążyłam w górę i w dół, tam i z powrotem. Ale znalazłam też rzeczy, o których istnieniu nawet nie marzyłam.

Wśród tych białych kruków jest na przykład potwierdzenie wiary złożone w Byczynie 17 września 1893 roku, spisane granatowym atramentem na pożółkłej kartce papieru formatu A4. Litery są kształtne, kreślone ręką ćwiczoną w kaligrafii. Johann Polotzek, parobek z Miechowy, zaświadcza, że wszystkie jego dziatki muszą być ochrzczone i wychowane w wierze katolickiej. To samo potwierdza jego żona, Karolina Polotzek, z domu Schubert. – To dowód na to, że tereny te pod koniec dziewiętnastego wieku nie były jedynie niemieckie i ewangeliczne – zauważa Zdzisława Drozd.

Z kolei z innego dokumentu dowiadujemy się, jakie były losy zaginionego Stanisława Pośpiecha. W tej sprawie przed burmistrzem Kluczborka Wilhelmem Jaroszem zeznawali 7 stycznia 1947 roku mieszkańcy Byczyny: Paweł Malich, zamieszkały przy ulicy Rynek 33, oraz Ignacy Kwiasowski, zamieszkały przy ulicy Roli-Żymierskiego 18. Oświadczyli: „Obywatela Pośpiecha Stanisława, syna Franciszka, mieszkańca wsi Nasale, powiat kluczborski, znaliśmy osobiście od roku 1914 i wiadomo nam jest, że tenże w roku 1921 jako agitator polski pracował we wsi Nasale jako członek komisji plebiscytowej, następnie w maju tegoż roku podczas wybuchu powstania na Górnym Śląsku został przez władze niemieckie aresztowany i przez dwa tygodnie więziony w Kluczborku. Po upadku powstania i odjeździe Komisji Alianckiej był często przez władze niemieckie prześladowany i bity, więc musiał się ciągle ukrywać. Wiadomo nam jest też, że w roku 1945, kiedy wojska niemieckie wycofywały się ze wsi Nasale, obywatel Pośpiech Stanisław został zamordowany przez nieznaną sprawców. Oświadczenie niniejsze składamy na tej podstawie, ponieważ jako Polacy pod zaborem niemieckim schodziliśmy się często na tajne narady, które odbywały się w naszym miasteczku i fakty powyższe, odnoszące się nie tylko do osoby Pośpiecha, ale i innych Polaków zamieszkałych w okolicy Byczyny, są nam znane jako członkom byłej tajnej polskiej organizacji na Górnym Śląsku”.

Zdaniem Zdzisławy Drozd rola archiwisty nie może ograniczać się tylko do zajęć standardowych. Trzeba też czasem być jak agent, superszpieg – przeprowadzić śledztwo, skorzystać z białego wywiadu, coś podsłuchać, podglądać, przeanalizować, połączyć fakty, znaleźć motywy i świadków, a nawet postąpić zupełnie wbrew procedurom. Rodzi się wtedy przestrzeń dla przygód i wielkich odkryć.

– Sprzątając w izbie tradycji, w jednej z szaf znalazłam dwie ceramiczne doniczki. Myślałam, że powstały podczas jakichś zajęć garncarskich, tym bardziej że znajdowały się w nich śmieci, na pewno współczesne – plastikowe kubeczki, papierki po cukierkach. Stwierdziłam jednak, że zanim znalezisko wyrzucę, upewnię się, czy nie jest aby zabytkowe. – Pani Zdzisława zapakowała doniczki do reklamówki i zrobiła objazd po okolicznych muzeach. W Kluczborku nikt nie był w stanie ocenić ich wieku. – Pojechałam więc do Praszki. Wyciągnęłam „skorupy” z siatki, a dyrektor Zbigniew Szczerbik popatrzył i odskoczył na kilka metrów, jak oparzony. Bo nie były to doniczki, tylko popielnice, w których niegdyś znajdowały się prochy zmarłych. Nie chodziło wcale o ten makabryczny aspekt. Dyrektor uświadomił mi, że na ściankach naczyń cmentarnych mógł znajdować się kropidlak żółty, niezwykle toksyczna pleśń, stanowiąca zagrożenie dla zdrowia i życia. – Kropidlak znaleziony został między innymi w grobowcu Kazimierza Jagiellończyka i prawdopodobnie był powodem tajemniczej śmierci naukowców, którzy brali udział w ekshumacji i badaniu szczątków króla. W sumie w ciągu kilku lat zmarło aż piętnaście osób związanych z tą sprawą. Wizyta okazała się owocna. Doktor Szczerbik ocenił, że popielnice pochodzą z wczesnej epoki żelaza. – Ale w gablocie, w której są eksponowane, napisałam, że z okresu halsztackiego. To jest oczywiście prawdą, jednak stwierdziłam, że tak będzie bezpieczniej. Ludzie mniej więcej kojarzą, kiedy była epoka żelaza, że dawno i że to „coś” może być cenne, a okres halsztacki już nie jest taki łatwy do odszyfrowania. Uważam, że lepiej losu, a zwłaszcza złodzieja, nie kusić.

Teraz pani Zdzisława prowadzi śledztwo, aby dowiedzieć się, kto wybrał jedną, ale może najważniejszą kartkę z kroniki prowadzonej przez Tadeusza Wajdę, który był między innymi pierwszym kierownikiem szkoły w Bieczynie. W kronice Wajda opisuje, jak w 1946 roku znalazł się w Bieczynie. Kto z autochtonów miał wyjechać, wyjechał. Zostali ci, którzy chcieli zostać. Nagle przyszedł rozkaz, nie wiadomo przez kogo wydany, że mieszkańcy niektórych domów – co ciekawe, tych najbardziej okazałych i najmniej zniszczonych – mają się pakować i natychmiast opuścić Polskę. Osoby, które znalazły się na liście, poprosiły o pomoc. W ich obronie stanął kierownik Wajda, który pojechał do Kluczborka, aby


u wyższych władz wyblagać anulowanie rozkazu. I wyblagał, ale zanim wrócił – a jechał rowerem, do pokonania w jedną stronę miał 20 kilometrów, w dodatku zimą, przez zasy – ich domy były już zajęte i ograbione. Autor zapisków wymienił osoby, które skorzystały na tej ekspresowej „ewakuacji”, ale strony z nazwiskami w kronice nie ma. Została po niej tylko wyszarpana falbanka papieru przy szwie.

A jak akwizytor

Podstawowym źródłem wiedzy o Byczynie są dla pani Zdzisławy mieszkańcy.

– Chodzę po domach jak akwizytor, by ocalić jak najwięcej informacji. Jeśli jakieś pytanie mnie nurtuje, to pędzę do kogoś, kto powinien znać na nie odpowiedź. Nieraz ciągnę za sobą kamerzystę, by relacje utrwalić, zachować dla potomnych. Niektórzy, jak mnie widzą na ulicy, to przechodzą na drugą stronę, bo się boją, że znowu o coś będę ich wypytywać. A jedna pani to nawet numer telefonu zmieniła, żeby mi dała jej spokój. Ale i tak się z nią skontaktuję, przez opiekunkę.

Zdzisława Drozd każdą wolną chwilę poświęca na badanie oraz archiwizowanie historii Byczyny. Uważa nawet, że to już obsesja. Aby dotrzeć do jej początków, należy może wrócić do dnia, w którym przyglądała się badaniom archeologicznym na starym byczyńskim cmentarzysku. Niektóre z pochówków były intrygujące i bardzo nietypowe – rodziny pochowane żywcem, zwłoki przygniecione kamieniami. Naukowcy ocenili, że to groby wampiryczne.

– Może z jakiegoś dołka wyskoczył dybuk i mnie opętał? Może to metafizyka, a może szaleństwo? – dopytuje przewrotnie pani Zdzisława. – Tak, na pewno zwariowałam. Nikt normalny by się za to nie wziął, w dodatku społecznie. Tymczasem ja często nawet dopłacam do tej pasji z własnych pieniędzy, czyli skromnej nauczycielskiej emerytury. A tak na poważnie, to kiedy patrzę na to, co udało mi się zrobić, czuję się jak matka, która urodziła dziecko. Jestem dumna, ale także pełna obaw o to, co się stanie z moją pracą, kiedy stąd odejdę. Czy ten z trudem zdobyty dorobek się zmarnuje? To byłaby katastrofa. 

O autorce:
MILENA ZATYLNA

Absolwentka filologii polskiej na Akademii Długosza w Częstochowie. Umiejętności dziennikarskie szlifowała między innymi w Polskiej Szkole Reportażu w Warszawie. Fascynuje ją historia. Jest autorką książek historycznych dotyczących ziemi kluczborskiej.

O bohaterce:
ZDZIŚŁAWA DROZD

Emerytowana nauczycielka plastyki. Pisze ikony. Porządkuje i uzupełnia zbiory izby tradycji w byczyńskim ratuszu. Założycielka Stowarzyszenia Ochrony Dziedzictwa Kulturowego Byczyny.

Entuzjaści. Portrety archiwistów społecznych to zbiór tekstów nagrodzonych w konkursie „Kim jest archiwista społeczny?” zorganizowanym przez Centrum Archiwistyki Społecznej w 2020 roku.

AUTORZY TEKSTÓW:

Piotr Bewicz, Aleksandra Karmelita, Rafał Skórski,
Katarzyna Wojtasik, Justyna Wysocka, Milena Zatylna

KONCEPCJA PROJEKTU:

Joanna Łuba

KOORDYNACJA PROJEKTU:

Maria Mossakowska

WSPÓŁPRACA PRZY PROJEKCIE:

Agata Bujnowska, Katarzyna Płazyńska, Karolina Sakowicz

REDAKCJA TEKSTÓW:

Adam Dylewski

WSPÓŁPRACA REDAKCYJNA:

Anna Maryjewska

KOREKTA:

Redaktornia.com

FOTOGRAFIE:

Michał Dąbrowski

Fotografie w tekście *Z miłości do białego anioła:*

Alexey Isakov

**PROJEKT GRAFICZNY
I SKŁAD:**

Piotr Chuchła

DRUK:

Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak

NAKŁAD:

1200 egz.

Publikacja bezpłatna

Copyright by Centrum Archiwistyki Społecznej 2021

Wydanie I

Warszawa 2021

ISBN 978-83-962264-0-2

WYDAWCA:



Centrum Archiwistyki Społecznej

ul. Rejtana 17, lok. 25/26/27

02-516 Warszawa

22 294 11 00

kontakt@cas.org.pl

www.cas.org.pl





centrum
archiwistyki
społecznej

Świat archiwistyki społecznej, choć pełen fascynujących osobowości i zbiorów, nie jest jeszcze szeroko znany. Centrum Archiwistyki Społecznej zostało powołane między innymi po to, by przedstawiać publicznie osiągnięcia archiwistów społecznych. Właśnie z tego powodu w listopadzie 2020 roku zaprosiliśmy środowisko twórców do sportretowania osób, które tworzą archiwa społeczne. Rozpisaliśmy konkurs na reportaż prasowy „Kim jest archiwista społeczny?“, który miał za zadanie zainteresować dziennikarzy, pisarzy i reportażystów tematem archiwistyki społecznej. W publikacji prezentujemy 6 najciekawszych prac przedstawiających archiwistów społecznych - kilkorga spośród tysięcy osób zajmujących się tą działalnością. Są entuzjastami swoich społeczności, lokalnej kultury i pracy na rzecz budowania społeczeństwa obywatelskiego, coraz bardziej świadomego korzeni swojej przeszłości.

Joanna Łuba
wicedyrektorka Centrum
Archiwistyki Społecznej